

Dziś w numerze: **Globalizm amerykański** • **Londyński tygiel** • **Stefan Mrożewski w Polsce** • **Rozmowa z reż. Jerzym Antczakiem** • **Dwunastu autentycznych fałszerzy** • **Wiersze** • **Felietony** • **Recenzje**

odgłosy



38 (568)
22. IX. 1968 r
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



KONRAD FREJDLICH

KONFRONTACJE

1.

Pomyślałem sobie, że chyba pomyliłem adres. Bo w zasięgu mego wzroku, w całej perspektywie ulicy Sterlinga zamkniętej monumentalną bryłą teatru, nie było ulotnych znaków czasu, do których przywykliśmy już mijając bramy i dziedzińce fabryczne: nie było transparentów i hasel sławiących Czyn Zjazdowy. Miało się już na zmierzchu, kiedy wreszcie znalazłem się naprzeciw muru Zakładów Odzieżowych im. Małgorzaty Fornalskiej i zrozumiałem przyczynę tego, jak mi się zdawało z początku, zaniedbania. Tu, gdzie się spodziewałem ujrzeć sfaldowane na wietrze białe i czerwone płótna, zobaczyłem przyczepione do ścian fabrycznej hali rusztowania opinające ją tak szczelnie, że tego żaden transparent nie mógłby dokonać dokładniej.

Kładzono nową elewację. O tej porze tynkarzy nie było już na rusztowaniach. Ale w halach fabrycznych paliło się światło i na ulicę niosł się stłumiony przez mury pogłos pracujących maszyn.

2.

„Za ciebie, ojczyzno moja, za ciebie ludu polski, córka moja, Małgorzata, oddała swe życie. Ale ty za jej ofiarną śmierć i miłość ku tobie, uczciłaś ją wspomnieniem, nazywając jej imieniem wiele szkół, fabryk, żłobków, spółdzielni, a nawet statek morski. Za to ja, jej matka, tobie, ludu polski, dziękuję”.

Stojąc w zmierzchu i patrząc w oświetlone okna fabrycznej hali, za którymi migwały sylwetki robotnic, przypomniałem sobie podniosłe przecieć, choć tak proste słowa, którymi kończy się „Pamiętnik matki”, wystukany jednym palcem na maszynie przez Marcjanę Fornalską.

„Uczciłaś ją wspomnieniem...”. Trudno o piękniejsze określenie, niż to, które matce pięciorga rewolucjonistów poległych w walce o nowy kształt Polski podyktowało jej złośliwe choć tak miłe serce.

A przecieć to więcej niż wspomnienie.

3.

Druga zmiana. Biura i większość placówek administracyjnych świecą pustkami. Więc portier spojrzal na mnie nieco zdziwionym wzrokiem. Ale tam w bramie, jak mi to przyrzeki przez telefon, czekał już na mnie towarzysz Gogolczyk, sekretarz, i przez długi korytarz pofabrykanckiego pałacyku poszliśmy do Komitetu Zakładowego.

To właśnie w tym pomieszczeniu mieścił się punkt konsultacyjny, pomysły jako pomoc w dyskusji przedzjazdowej. Można tu otrzymać informacje dotyczące gospodarki zakładu, polityki kadrowej, akcji socjalnej. Można sobie także w bezpośredniej rozmowie przedyskutować i pogłębić problemy polityczne krajowe i zagraniczne. Na czoło zagadnień wysuwała się ocena wydarzeń marcowych i rozwój wypadków w Czechosłowacji, ale nie zapomniano o problematyce wewnątrzzakładowej, którą charakteryzuje dalszy wzrost płac i wzrost eksportu oraz dążenie do ustabilizowania asortymentu produkcji.

— No — zauważa towarzysz Gogolczyk — na dyskusje mie-

Dalszy ciąg na str. 2

TERESA WOJCIECHOWSKA

PRZYSZŁOŚĆ TKANIN, KTÓRYCH SIĘ NIE TKA...

Natychmiast po wejściu do budynku administracji wzrok przybysza zatrzymuje się na dużej, jasno oświe-

tlonej gablocie. W niej przyciągają oko efektowne, barwne tkaniny, ostatni krzyk mody tekstylnej: malimo i malipol. Czytelniczki je znają. Tkaniny te od pewnego czasu, choć w niewielkich jeszcze ilościach, są już w sprzedaży. Malimo, grubsza od kretonów używana jest na sukienki letnie i zasłony okienne, malipol — jednostronna frota, na wdzianka i kostiumy plażowe, ręczniki, szlaf-roki kąpielowe itp.

Kiedy się na to patrzy — o! — po prostu jeszcze jeden rodzaj tkaniny, nic więcej. Ale ja poszłam do „Kunickiego” uświadomiła, że te tkaniny to wcale nie są tkaniny, tylko wyroby nietkane. Dla mnie rzecz prawie nie do pojęcia. Pierwszym więc pytaniem, jakie skierowałam do dyrektora mgr inż. Kazimierza Zagajewskiego, po wejściu do jego gabinetu, była prośba o bardzo przystępne wyjaśnienie, jak się robi tkaniny

bez tkania, choć zdawałam sobie sprawę, że jest to pytanie całkowicie bezsensowne z powodu mojej ignorancji w tym przedmiocie.

Przed kilku laty ZPB im. Kunickiego (od tego czasu datuje się handlowa nazwa zakładów: MALTEX), jako jedyne w kraju, podjęły eksperymentalną produkcję niektórych wyrobów włókienniczych nowymi sposobami, mającymi na celu wyeliminowanie tradycyjnego przedzenia i dalej — tkania. „Kunicki” podjął się przekształcenia się w tym względzie w stację doświadczalną, gdzie naukowcy z Instytutu Włókiennictwa i innych placówek badawczych wraz z praktykami — włókiennikami zakładów mieli podejmować próby w zakresie produkcji nowych wyrobów włókienniczych: tańszych, praktyczniejszych, łatwiejszych do wytwarzania niż tradycyjne. Pierwsze agregaty zostały sprowadzone z NRD — europejskiego potentata i specjaliści od produkcji tych wyrobów. Powstał szeroki program realizacji zamierzeń, uruchomienia oddziałów pracujących nowymi technikami.

Jeden z punktów tego programu jest już zrealizowany. Malimo i malipol produkowa-

ne są na skalę przemysłową, zakłady przekroczyły planowane ilości, już dziś osiągają 10 milionów metrów rocznie. Na czym więc polega ta nowoczesność? Dyr. Zagajewski ma na te sprawy swój punkt widzenia.

— Postęp i nowoczesność polegają między innymi na wzroście wydajności, uproszczeniu procesu produkcji, poprawie warunków pracy. I te postulaty są osiągnięte. Nowa technika daje znacznie większą wydajność. O ile tradycyjne krosno wytwarza 8,5 metra, to nowe maszyny wytwarzają 60—80, a nawet 100 metrów na godzinę. Uproszczony jest znacznie proces przygotowywania przędzy w stosunku do tradycyjnego (malimo jest produktem pół tkany, pół dzianym). I wreszcie warunki pracy. Oddziały malimo i malipolu nie przypominają już prawie hal produkcyjnych fabryki włókienniczej. Wyeliminowany hałas, szum maszyn, pozwala na swobodną rozmowę, na halach jest czysto, nieporównanie mniej kurzu, robotnice mogą tu pracować w białych fartuchach.

Dalszy ciąg na str. 4



ŚWIATA

„Francja nadal ubiegać się będzie o odprężenie w Europie... „Jednakże de Gaulle nie da się odstraszyć od polityki odprężenia” Takimi słowami kwituje prasa zachodniemiecka kolejną konferencję prasową prezydenta Francji. Dzienniki bońskie tym razem mówią prawdę. Aczkolwiek de Gaulle nawiązując do wytarzeń czechosłowackich, stwierdził, że jest przeciwny wszelkiej „interwencji”, rzeczwiście całą swoją wypowiedź w części międzynarodowej utrzymał w dachu „odprężenia, zbliżenia i pokoju”.

Powyższe cytaty nie zasługowałyby więc na zwrócenie uwagi, gdyby nie nuta zawodu, jaka z nich przebiega. „Jednakże de Gaulle nie da się odstraszyć...”. Te słowa są wielce wymowne, nie ukrywają przecież rozczarowania Bonn.

Bo trzeba to przyznać: zachodniemieccy militariści nie zasypiają gruszek w popiele. Dla nich każda okazja jest dobra, aby wysunąć wciąż dalej idące zadania zbrojeni Bundswehry. Oczywiście — wykorzystano i wydarzenia w Czechosłowacji. Nie tylko, aby znaleźć pretekst do dalszego ociągania się ze złożeniem podpisu pod układem o nierozpowszechnianiu broni nuklearnej, ponieważ — jak oświadczył min. Brandt dziennikarzowi „Die Welt” — problem wymaga poważnego przemyslenia, ale i do dalszych zadań militarnych.

Tylko w ostatnich dniach: Kiesinger zaatakował NATO za jego „zmęczenie”. Brandt domagał się umocnienia bloku, Strauss uznał za niezgodne podkreślić potrzebę „aktywnej gotowości wobec ZSRK”, a deputowany CDU — Birrenbach i przewodniczący frakcji parlamentarnej SPD — Schmidt wybrali się w podróż do Waszyngtonu, aby tam przedłożyć dalsze militarne postulaty.

„Wkroczenie wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji całkowicie zmieniło sytuację militarną NRF” — oświadczył Birrenbach. Jaki jest sens tego oświadczenia — nie trzeba dopowiadać. Bonn po prostu kuje żelazo póki gorące...

Rezultat waszyngtońskiej wizyty jest wprawdzie połowiczny, ale NRF udało się wprowadzić nastrój zdenerwowania do NATO. Mnogość oświadczeń o potrzebie wzmocnienia zbrojeń konwencjonalnych. Nie nowy to postulat kol zimnowojennych — powtarza się od początku lat sześćdziesiątych i wiele jego elementów wprowadzono już w życie. Teraz jednak znów znaleziono okazję do militarnych nacisków.

Tymczasem w NRF ogłoszono projekt budżetu ministerstwa obrony na rok przyszły. Przewiduje on 18,8 mld marek — sumę zryczałtowaną, najwyższą w budżecie zachodniemieckiego państwa. Podano także, że i w latach następnych wydatki będą systematycznie wzrastać. 19,8 mld marek w 1970 roku, ponad 22 mld w 1972 roku. Militaryzacja i faszystacja — to dwie uzupełniające się tendencje za Łabą.

Ostatnio sąd partyjny krajowej organizacji CDU w Dolnej Saksonii orzekł, że partia ta uważa za możliwe ustalenie wspólnych list wyborczych z faszystowską NPD von Thadden.

NPD z każdym miesiącem umacnia swą pozycję. 40 tys. członków, dwa miliony wyborców, 60 mandatów w 7 krajowych parlamentach. W odwetowym klimacie, panującym w NRF, toruje ona sobie drogę do władzy. Lokalne sojusze wyborcze, które ułatwia wspomniana powyżej decyzja, wcale nie są, jak próbuje się w mówić społeczeństwu zachodniemieckiemu, „pozbawione politycznego znaczenia”. Świadczą one o aprobowaniu działalności NPD, a nawet więcej — o zbliżeniu celów saksońskiej CDU (czy zresztą tylko saksońskiej?) z neohitlerowcami z NPD. Gdyby bowiem było inaczej, czy dopuszczono by możliwość wystawiania wspólnych list?

W chwili, kiedy przygotowuję komentarz do druku, poza doniesieniami z Czechosłowacji, w które czytelnik polski wczuwa się szczególnie uważnie, zwracają uwagę także informacje z Bliskiego Wschodu i Wietnamu.

Wielu obserwatorów zagranicznych uważa, że istnieje groźba generalnego ataku Izraela na kraje arabskie. Dają powody do takich przypuszczeń nie tylko powtarzające się prowokacje wojsk izraelskich nad Jordanem, lecz także wprowadzenie przez ten kraj „skargi” na forum Rady Bezpieczeństwa przeciwko arabskim sąsiadom. Izraelowi bowiem nie chodziło o wyegzekwowanie od Rady jakiegokolwiek decyzji — kto bowiem doprowadza do incydentów jest aż nadto oczywiste — ale o odwrócenie uwagi od swej napastliwej działalności i stworzenie pewnego rodzaju alibi.

„Daily Telegraph” pisze, że Izrael chciał w ten sposób „zdemontować nieporadność” Rady i „może teraz powiedzieć, że bierze sprawy bezpieczeństwa we własne ręce”.

Agresywności Izraela, jego dążności do militarnych działań — ZRA i inne kraje arabskie przeciwstawiają pokojową płaszczyznę rozwiązania konfliktu, zgodną z rezolucją Rady Bezpieczeństwa. Izrael jednak wciąż nie chce zastosować się do decyzji Rady. Rzecz jasna — nie miałoby to miejsca, gdyby Tel Awiw nie znajdował wsparcia dla swej „nieustępliwości” w Waszyngtonie.

Tak więc bliskowschodni wulkan znów dymi...

Wietnam natomiast zwraca uwagę w ostatnich dniach przede wszystkim z powodu aktywności partyzantów. Zaczęła się tam zresztą pora deszczowa, a ta sprzyja działaniom wywoleńczym. Chyba także dlatego w USA mówi się głośno o mającej nastąpić w najbliższych dniach wielkiej ofensywie partyzantów. Ofensywa ta przez źródła amerykańskie zapowiadana była już kilkakrotnie, a to z pewnością w celu przygotowania wewnętrznej opinii.

Zapowiedzi te dają jednak społeczeństwu USA wiele do myślenia. Skoro mimo wieloletnich walk, prowadzonych przy zastosowaniu nowoczesnej techniki, przeciwnik ma dość siły, aby przygotować nową wielką ofensywę — to znaczy, że USA wojny tej wygrać nie mogą. Pozostaje więc tylko droga polityczna. Tych „spostrzeżeń” wyborców nie mogą nie uwzględniać w swej kampanii pretencji do prezydenckiego fotela. Dlatego raz po raz w ich wystąpieniach odnaleźć można pokojowe akcenty w sprawie Wietnamu. Są to jednak wszystkie słowa bez pokrycia.

W. SEAWSKI

LONGIN PASTUSIAK

GLOBALIZM

W niedługim czasie ukaże się nakładem wydawnictwa „Książka i Wiedza” nowa praca doc. dr Longina Pastusiaka pt. „Szkice o polityce Stanów Zjednoczonych”. Poniżej drukujemy wstęp do tej książki.



Oświadczenie partii komunistycznych i robotniczych opublikowane na zakończenie konferencji w Karlowych Warach w kwietniu 1967 r. określiło Stany Zjednoczone jako „główną siłę agresji i reakcji”, jako siłę która usiłuje „cofnąć bieg historii i przekreślić prawo narodów do decydowania o własnym losie”.

W ciągu okresu powojennego rozszerzył się i umocnił światowy system socjalistyczny. Mimo iż stosunki w światowym ruchu robotniczym stały się obecnie bardziej złożone aniżeli wydawały się być przed laty, słły występujące przeciwko wojnie w różnych krajach i na różnych kontynentach wzrosły i okrzepły.

Wzrosła również agresywność imperializmu amerykańskiego.

Stany Zjednoczone już na przełomie XIX i XX w. wyszły na czoło przemysłowych państw świata. Pierwsza wojna światowa powiększyła dystans między USA a resztą państw kapitalistycznych. II wojna światowa zepchnęła wszystkie państwa kapitalistyczne w stan daleko posuniętej zależności od USA. Burżuazja amerykańska dysponując ogromnymi środkami militarnymi i ekonomicznymi sądziła, że będzie w stanie narzucić światu swego rodzaju Pax Americana. „W obecnej dobie — pisał historyk angielski A. Toynbee — Ameryka to przywódca światowych, antyrewolucyjnych sił występujących w obronie istniejących interesów. Broni ona tego, czego bronili Rzym, Imperium rzymskie konsekwentnie popierało bogatych przeciwko biednym wśród wszystkich obcych plemion, które znalazły się pod jego władzą. Ponieważ zaś biedni do tej pory zawsze i wszędzie są liczniejsi aniżeli bogaci, polityka rzymska sprzyjała nierówności niesprawiedliwości i nieszczęściu większości”.

Henry Luce, amerykański potentat prasowy, milioner, który lansował koncepcję wieku XX jako wieku Ameryki pisał w 1941 roku, że dla Stanów Zjednoczonych nadszedł czas, by „całkowicie wziąć na siebie obowiązki i wykorzystać nasze możliwości jako narodu najpotężniejszego i najbardziej żywotnego w świecie oraz wyrzucić odpowiedni wpływ na świat w kierunku jaki uznamy za najodpowiedniejszy i przy pomocy środków, jakie będziemy uważali za właściwsze”.

Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych w okresie powojennym usiłowała właśnie realizować powyższą ideę. Globalizm amerykański był skierowany głównie przeciwko krajom socjalistycznym, które zdaniem Waszyngtonu stanowiły główną przeszkodę na drodze do utrwalenia hegemonii i dominacji Stanów Zjednoczonych w powojennym świecie.

To nie kto inny jak John Foster Dulles, długoletni architekt polityki zagranicznej USA mówił że „nie można zrozumieć polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, jeżeli nie mówią oficjalni jej przedstawiciele. Znacznie ważniejsza jest filozofia jego przywódców”. Otóż w okresie powojennym, po jawilo się mnóstwo opracowań, sloganów i sformułowań usiłujących zakamuflować cele polityki amerykańskiej i ubrać je we wzniósłe słowa. Przede wszystkim zaczęło się od utrwalania tezy o mesjanistycznej niemalże roli, którą ma do odegrania w świecie Ameryka. Ameryka ze swym „bogactwem”, „demokracją”, „cywilizacją” przy pisała sobie prawa „narodu wybranego”, którego misją jest ochrona wartości cywilizacji zachodniej na którą rzekomo tylko czyha „międzynarodowy komunizm”.

Od „szczególnej odpowiedzialności” za pokój światowy do roli przywódcy świata zachodniego krok już niewielki. A skoro jest się przywódcą trzeba wypełniać „próżnie strategiczne”, prowadzić akcje w imię oczywiście szczytnych haseł jak pokój, wolność, demokracja itp.

KONFRONTACJE

Dalszy ciąg ze str. 1

liśmy w tym roku urodzaj. Zarówno w grupach partyjnych, jak i na konferencji zakładowej, gdzie wybrałszy delegata na V Zjazd partii. Zaraz spróbujemy wydzwoić — złapał słuchawkę telefoniczną i połączył się z Wydziałem Krojowni.

W ten sposób poznałem TEODORĘ BLEWĄSKĄ, brygadziatkę.

Zanim weszła, ubrana w roboczy fartuch, usiłowała wyobrazić sobie delegatkę załogi „Fornalskiej” w oparciu o charakterystykę, jaką przygotował dla mnie towarzysz Gogolewicz. Stwierdziłem później, że był to dokument rzetelny, ale przecież żadne słowa nie powiedzą o człowieku wszystkiego.

Spodobalo mi się przede wszystkim jak ta dojrzała przeciecz kobieta, matka dzieciom, ciepło mówiła o swej własnej matce, rencistce. O matce, bo nie zakreśliłiśmy sobie specjalnie tematu rozmowy, przykładając tyleż uwagi do nieistotnych, zdawałoby się, drobniaków, co i do spraw, o których wiedzieliśmy oboje, że mają istotne znaczenie. Byłem tym, który pyta, bo tego wymaga mój zawód i obowiązek wobec czytelnika, ale starałem się unikać standardowego dziennikarskiego wywiadu, aby nie zepsuć klimatu naszej zupełnie wyjątkowej rozmowy. Stuchając mądrych, uczciwych słów mojej rozmówczyni zrozumiałem od razu dlaczego trzytyścizna blisko załoga „Fornalskiej” z pełnym zaufaniem złożyła w ręce Teodory Blewąskiej mandat delegata na V Zjazd partii.

Urodziła się w Łodzi, w rodzinie robotniczej. Redukcje, które spadały na włókienniczy, szczęśliwie ominęły jej najbliższych, toteż nie od razu zetknęła się z realiami życia, które wtedy, w latach trzydziestych, mobilizowały ludzi do strajków i partyjnej, konspiracyjnej roboty. Długo, bo prawie do trzydziestego roku życia pozwolono jej być dzieckiem, skoczyć a szkole podstawowej i nawet zdała egzamin do gimnazjum. Był to już rok trzydziesty dziewiąty.

Kiedy sięga pamięcią, dwie tylko zupełnie wtedy nieopojęte dla niej sprawy, komplikowały to dzieciństwo: nie mogła się nadszwić narzekaniom babci, która po groszu odkładada bilion na czarna godzinę i temu, że wuj, brat matki, wiecznie chodził bez pracy, bezskutecznie wystając pod bramami fabryk.

Uświadomienie przyszło gwałtownie, w błysku bomb, które spadły na Łódź w pięknym miesiącu wrześniu. Zamiast do gimnazjum poszła do pracy w zakładach odzieżowych Guentera Schwarza i została szwaczka, podobnie jak matka, z którą teraz wspólnie dźwigała ciężar utrzymania rodziny. Ta więc matki z córka, więc na złe i dobre, była jedynym zyskiem jaki jej przyniosła okupacja. Nie chciały się rozłączyć nawet wtedy, gdy już w czterdziestym czwartym, Niemcy tylko jedną z nich chcieli wywieźć na przymusowe roboty. Pojechały więc razem, bydlęcym wagonem, z przeświadczeniem, że jada na śmierć, ale los im tego oszczędził.

Do gimnazjum poszła więc dopiero po wojnie. Była już wtedy meżatka. Związała swe życie z człowiekiem, którego poznała podczas okupacji, kiedy w czasie krótkiego urlowu od robót w Niemczech, odwiedził Łódź.

Mąż przerastał ją doświadczeniem życiowym i przeżyciami wojennymi. Został wprost cudem uratowany spod gruzów w bombardowanym przez Amerykanów Dreźnie. Teraz, po powrocie do kraju, podjął pracę w filmie i chodził z głową przepelnioną pomysłami dekoracji na użytek X Muzy.

Kiedy na świat przyszły dzieci, Teodora Blewąska przerwa-

AMERYKAŃSKI

Stany Zjednoczone w początkowym okresie swego istnienia były na miarę ówczesnej epoki państwem postępowym. Do takich należała również konstytucja amerykańska. Świat jednak zmienił się, poszedł naprzód, centrum ruchu rewolucyjnego przesunęło się na inne kontynenty i do innych krajów. Rozwojowi gospodarczemu Ameryki nie towarzyszył odpowiedni rozwój społeczny. Dziś burżuazja amerykańska ciągle próbuje sprzedać światu rewolucyjność i postępowość Stanów Zjednoczonych, opinie które ukształtowały się o tym kraju półtora wieku temu. W żadnym innym chyba kraju nie cytuje się i nadużywa się tak często filozofa francuskiego A. Toqueville'a i jego dzieła „Demokracja w Ameryce” napisanego w 1835 r. Dzieło to jest pełne interesujących i trafnych spostrzeżeń na temat systemu politycznego Stanów Zjednoczonych. Autor jednak zachwycał się nim i przeciwstawiał go reakcyjnemu feudalno-monarchistycznym i zacofanym systemom świętego przymierza panującego wówczas w Europie. Od lat milionom uczniów, studentów i obywateli w USA wkuwa się w szkołach, uczelniach, w publikacjach myśli Toqueville'a. Myśli o Ameryce z początku XIX w. usiłuje się odnieść do Ameryki drugiej połowy XX wieku.

Burżuazja amerykańska starannie pielęgnuje mit o rewolucyjności Ameryki. Politycy amerykańscy przedstawiają się dziś jako rzecznicy postępu, społecznego. „Nie jesteśmy zwolennikami jałowego status quo — mówi sekretarz stanu Dean Rusk. Nie występujemy przeciwko zmianom dokonywanym drogą pokojową. Popieramy postęp ekonomiczny, społeczny i polityczny dla wszystkich narodów... I wierzymy iż każdy naród ma prawo wyboru i zmieniania swoich instytucji”.

W polityce jednak liczą się nie słowa a czyny. Konserwatyzm i wsteczność nie są modne w dzisiejszym świecie. Po to aby utrzymać dobre stosunki z przylatującą większością krajów na świecie trzeba podawać się przynajmniej za rzecznika postępu społecznego. Ślad też propaganda amerykańska, politycy amerykańscy tyle perorują o wolności, postępie i demokracji.

„Dzisiejsza Ameryka jest zepsuta — pisał w „New York Times” czołowy publicysta amerykański James Reston. Jak zepsuta jest Ameryka?... Pytania tego nie można uniknąć... ponieważ zbyt wiele wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku lat... Zamordowanie prezydenta, gwałtowny przebieg walki rasowej, zamieszki na tle walki o prawa obywatelskie w miastach, wojna w Wietnamie, konflikt na uniwersytetach, sprawa Oswald, sprawa Powella, sprawa Ruby'ego, sprawa senatora Dodda, sprawa Bobby Bakera, sprawa CIA, sprawy podsłuchowania rozmów telefonicznych, spór o to kto mówi prawdę w Białym Domu, kontrowersja między rodziną Kennedych a Manchesterem wokół książki tego ostatniego, spór między Edgarem Hooverem a Robertem Kennedym o podsłuchiwanie rozmów telefonicznych — we wszystkich tych sprawach uawniono zbyt wiele niebezpiecznych faktów — aby można było je odrzucić twierdząc, że chodzi tu o śmieszne moralizatorstwo niedowarowanych reformatorów, którzy chcieliby udoskonalić świat”.

A w polityce zagranicznej? Cecha charakterystyczna powojennej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych był antykomunizm. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego bo wynika to z istoty klasowej tego państwa, gdyby nie to że antykomunizm Stanów Zjednoczonych ma w sobie coś z patologii, jest niezwykle prymitywny i brutalny. Jest to zjawisko szczególnie niebezpieczne jeśli wziąć pod uwagę środki którymi rozprzeczają Stany Zjednoczone. Niektóre kółka burżuazji amerykańskiej uważają, że wszystkie środki są dopuszczalne jeśli tylko prowadzą do ostatecznego zwycięstwa systemu socjalistycznego. Treść tej agresywnej polityki dobrze znamy, choćby z lektury prasy codziennej. Nie wpatliwie w ostatnich latach w Stanach Zjednoczonych umocniły się te ośrodki wła-

dy i te kółka, które zainteresowane są w realizacji polityki z pozycji siły w tych rejonach gdzie daje się to realizować unikając totalnej konfrontacji ze Związkiem Radzieckim. Do ośrodków tych należą przede wszystkim te ugrupowania monopolistyczne które związane są z tzw. nowymi gałęziami przemysłu lotniczo-atmowo-elektronicznego. Wchodzi doń przedsiębiorstwa pracujące na potrzeby zbrojeniowe, których konkurencja i zyski mogą być zabezpieczone tylko w warunkach napięcia i kryzysu w sytuacji międzynarodowej. Jednym z niepokojących procesów, który obserwujemy w Stanach Zjednoczonych jest stale zwiększający się wpływ kół wojskowych tzw. przemysłowo-militarnego kompleksu na kształtowanie polityki zagranicznej USA. Pentagon rozporządza dziś podstawowym kapitałem o wartości ponad 180 mld dolarów i rocznym budżetem ponad 75 mld dolarów. Ośrodki pechające politykę zagraniczną USA na prawo znajdują się ponadto w licznych ultraprzywilejowych organizacjach, wśród zawodowych działaczy aparatu partyjnego, zarówno republikanów jak i demokratów, wśród kleru, wśród części inteligencji spełniającej zamówienia swych mocodawców, a także wśród reakcyjnego kierownictwa amerykańskich związków zawodowych. Ośrodki te uczyniły antykomunizm podstawą swojego działania.

„Ale ta globalna strategia USA zbankrutowała — mówił w Karlowych Warach tow. W. Gomułka — zanim jeszcze doprowadzono do końca budowę służących jej paktów wojskowych. Zbankrutowała ona w obliczu osiągnięć naukowo-technicznych ZSRR, które pozabawiły USA najpierw monopolu, a następnie przewagi w nowoczesnym uzbrojeniu. Zbankrutowała ona w konfrontacji z ogarniającym cały świat potężnym ruchem wyzwoleniem narodów ujarzmionych, który zburzył system kolonialny, zmusił imperializm do rozproszenia sił, stawiając go w obliczu wyzwania w dziesiątkach krajów na rozległych obszarach Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej”.

Aby ratować swą słabnącą z roku na rok pozycję międzynarodową imperializm amerykański chwycił się wszystkich możliwych środków. Część kół rządzących w USA wyraźnie stawia na wojny lokalne jako na sposób zahamowania ruchu narodowo-wyzwoleńczego.

Agresja amerykańska w Wietnamie jest tego wymownym wyrazem. Soldatka amerykańska nie jest w stanie rozstrzygnąć konfliktu środkami wojskowymi, a na polityczne rozwiązanie nie zgadza się. Obłuda i hipokryzja obecnego rządu Stanów Zjednoczonych nie ma chyba sobie równej w całej historii tego kraju. Kontynuowanie obłądnej eskalacji, ciągłe mówienie o gotowości do pokoju i rokowań oraz równoczesne odrzucanie wszelkich inicjatyw pokojowych i dobrych usług oferowanych przez inne kraje jest świadectwem szczególnie złej woli i lekceważenia światowej opinii publicznej.

Piasko liczących prób mediacyjnych i torpedowania ich przez Stany Zjednoczone skłoniło sekretarza generalnego ONZ U Thanta do złożenia w maju 1967 r. bezprecedensowego i niezwykle dramatycznego oświadczenia: „Jestem świadkiem wstępnego stadium III wojny światowej. Jeśli obecny kierunek wydarzeń utrzyma się nadal, w moim głębokim przekonaniu bezpośrednia konfrontacja najpierw między Waszyngtonem a Pekinem, a następnie między Waszyngtonem i sojusznikami Chin jest nieunikniona. Pragnę przypomnieć, że układ o wzajemnej pomocy między ZSRR i ChRL jest nadal w mocy. Chcę także zwrócić uwagę na podobieństwo obecnej sytuacji do tego co można by nazwać prolegomem do I i II wojny światowej w sensie atmosfery psychologicznej i podejścia politycznego”.

Rozpisanie niektórych kół burżuazji amerykańskiej osiągnęło taki stan, że coraz częściej lansuje się w Stanach Zjednoczonych pogląd, iż w gruncie rzeczy obecnie na świecie istnieje jedno mocarstwo o skali globalnej — są nim Stany Zjednoczone. Po-

zostałe kraje na świecie uważa się najwyżej za mocarstwa regionalne.

Teoria ta, która znajduje wyraz już nawet w niektórych opracowaniach politologicznych amerykańskich jest niezwykle niebezpieczna. Uzasadnia ona poniekąd bezkarną politykę publiczną i reakcją innych krajów. Zachęca do jednostronnego agresywnego działania i postępowania się wszystkimi możliwymi środkami w celu utrzymania „kureczących się wpływów”. Faktem jest — pisał na łamach „Nouvel Observateur” Jean Daniel — że „wolność świata” zagrażają dziś nie komuniści, lecz przywódcy „wolnego świata”. Faktem jest, że Stany Zjednoczone w obecnym momencie swej historii szerzą terror w jednej części świata i pogrążają drugą część świata w rozpacz”.

Mimo przesunięć jakie nastąpiły w okresie powojennym w układzie sił w obozie zachodnim Stany Zjednoczone nadal odgrywają czołową rolę w zachodnim systemie polityczno-wojskowym. Dysponują one wieloma aktywami i atutami przede wszystkim w dziedzinie ekonomicznej i militarnej, które ułatwiają im sprawowanie również przywództwa politycznego świata zachodniego. Choć ster polityczny bloku zachodniego coraz wyraźniej wymyka się z rąk amerykańskich przez długie jeszcze lata burżuazja amerykańska będzie główną siłą na Zachodzie.

Próby „naukowej” obrony polityki imperializmu nie są zjawiskiem nowym w burżuazyjnej literaturze politycznej. Ostatnio na Zachodzie ukazują się jednak szczególnie dużo rozmaitych rozpraw dotyczących zwłaszcza teorii stosunków międzynarodowych. „Kryzys naszego wieku to przede wszystkim kryzys władzy politycznej” — stwierdził dziekan wydziału filozoficznego Uniwersytetu Nowojorskiego Sydney Hook. „Wiek nasz nie opracował teorii politycznej, która odpowiadałaby politycznej praktyce” — podkreśla inny uczyony amerykański Alfred Cobben.

Ideologicznie imperializm dokładał wiele starań aby opracować taką właśnie teorię, teorię która „naukowo” uzasadniałaby praktykę państw imperialistycznych.

We współczesnej burżuazyjnej literaturze politycznej, w szczególności w USA, pojawiło się wiele książek na temat teorii stosunków międzynarodowych. Nie negując pewnych wartości poznawczych tych opracowań, trzeba jednak stwierdzić, że w gruncie rzeczy ich autorom chodzi tylko o usprawnienie mechanizmu działania polityki państw imperialistycznych nie zaś o zmianę treści polityki.

Nie jest przypadkowe, że właśnie w ostatnich kilku latach i to w szczególności na gruncie amerykańskim, pojawiło się wiele teorii stosunków międzynarodowych pretendujących do rangi teorii naukowych. Rezultaty zimnej wojny nie są korzystne dla ich inicjatorów. Układ się na świecie uległ w ciągu ostatnich dwudziestu lat zasadniczym zmianom na korzyść państw socjalistycznych i niezadowolonych. Coraz więcej krajów wyrywa się spod kontroli głównego kraju imperialistycznego — Stanów Zjednoczonych. Wybitni specjaliści — różne trupy mózgow, komisje i komitety powołane do zapobieżenia szybko pogarszającej się sytuacji USA na arenie międzynarodowej stwierdzają, że słabością amerykańskiej polityki zagranicznej jest brak zasadniczej doktryny i naukowej teorii w procesie podejmowania decyzji politycznych. Przyjęto więc m. in. doktryny „containment” (powstrzymanie komunizmu), „roll back” (odpejniecia komunizmu), „liberation” (wyzwalania krajów socjalistycznych) itp., itp. Doktryny te o charakterze polityczno-wojskowym miały wytyczać i jednocześnie uzasadniać posunięcia rządu amerykańskiego na arenie międzynarodowej. Tak np. doktryna „containment” uzasadniała pomoc wojskowo-finansowa dla Grecji i Turcji, plan Marshalla, Pakt Atlantycki, remilitaryzacja Niemiec i inne kroki rządu USA. Doktryny nie stwarzały jednak podstaw naukowych dla polityki. Dla-

tego specjalistów z dziedziny stosunków międzynarodowych zajęli się wypracowaniem teoretycznym ram dla amerykańskiej polityki zagranicznej.

Teorie te miały nadać polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych charakter naukowy, uzbroić polityków amerykańskich w naukowy instrument poznawania stosunków międzynarodowych, wyposażać urzędników Departamentu Stanu w skuteczną broń przeciw marksizmowi, miały być orężem w walce z krajami socjalistycznymi na wszystkich płaszczyznach z ideologiczną włącznie.

Profesor Uniwersytetu Princeton, Arnold Brecht w książce „Political Theory. The Foundation of Twentieth Century Political Thought” pisze, że „tragedia politycznej myśli XX wieku” polega na tym, że burżuazyjna filozofia polityczna nie jest w stanie wykazać wyższości zachodniego systemu politycznego nad socjalizmem. Zachodnie miękki socjolog R. Kinsky w swej książce „Naturgesetlichkeit der Gesellschaftsordnung” stwierdza, że z niekorzystnego położenia w walce ideologicznej ze Wschodem, Zachód może wyprowadzić tylko stworzona na naukowych podstawach filozofia polityczna.

Zadanie wypracowania takiej filozofii politycznej wzięły na siebie na Zachodzie „Political Science” nauki polityczne. Rozwinęły się one zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie w dziedzinie tej naukowo pracuje kilka tysięcy ludzi. W wielu uniwersytetach amerykańskich istnieją niezależne od siebie dwa wydziały: wydział nauk politycznych i wydział stosunków międzynarodowych. W obu dziedzinach przyznaje się doktoraty.

W dziedzinie stosunków międzynarodowych wysiłek burżuazyjnych naukowców skupiają się na opracowaniu naukowej teorii. Celem tych poszukiwań jest — jak już o tym wspomniano — przeciwstawienie marksizmowi teorii burżuazyjnych, mających m. in. ująć politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych w ramy teorii naukowej i wykazać, że poszczególne posunięcia rządu amerykańskiego w stosunkach z innymi krajami mogą być oparte nie na przypadkowych decyzjach lecz na ściśle określonych podstawach naukowych.

Do opracowania teorii stosunków międzynarodowych zaangażowano przedstawicieli różnych dziedzin. Oprócz specjalistów od stosunków międzynarodowych do prac i dyskusji włączyli się filozofowie, ekonomiści, teologowie, zawodowi dyplomaci, publicyści i inni.

Zdaniem burżuazyjnych naukowców amerykańskich teoria ma przede wszystkim uszerzekać wiele elementów składających się na stosunki międzynarodowe. Ma ona ułatwić odróżnienie faktów typowych od przypadkowych i nieistotnych. Powinna stworzyć zdecydowane kryteria wyboru elementów odgrywających istotną rolę w kształtowaniu stosunków międzynarodowych. Teoria wreszcie powinna wyposażać polityka-praktyka w instrument, który z jednej strony umożliwi mu zrozumienie posunięć innych krajów, z drugiej pozwoli mu wybrać optymalną drogę dla realizacji własnych celów. Teoria wreszcie — powinna umożliwić wykonawcom polityki — panowanie i kontrolę nad wydarzeniami w każdej fazie realizacji określonego kursu.

Dla marksisty każda teoria stosunków międzynarodowych jest fałszywa i pseudonaukowa, jeżeli nie bierze pod uwagę podstawowych praw rządzących rozwojem społeczeństwa i stosunkami w ramach danego społeczeństwa. Polityka zagraniczna jest funkcją ustroju danego państwa. „Rzeczywiście naukowa teoria społeczna — mówi na XIII Plenum KC PZPR tow. W. Gomułka — może się pomysłowo rozwinąć jedynie w związku z praktyką społeczną, która tej teorii dostarcza bezcennego materiału poznawczego i weryfikuje jego wyniki”.

W referacie na VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR tow. Z. Kłiszko stwierdził, że pisemy i mówimy niemało o polityce zagranicznej państw zachodnich, natomiast zbyt rzadko analizujemy mechanizmy tej polityki, mechanizmy władzy w krajach imperialistycznych. Niniejszy zbiór szkiców, który w żadnym wypadku nie pretenduje do monografii o polityce zagranicznej USA ukazuje właśnie niektóre z sił, nie które z mechanizmów kształtujących obecnie politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych.

ła naukę w gimnazjum. Miała zamiar podjąć ją znowu, kiedy pociechy podrosną nieco i mniej będą potrzebowały opieki. Ale w roku 1958 sprawy osobiste skomplikowały się jeszcze bardziej. Na ciężką nieuleczalną chorobę zapadł mąż, jedyny żywiciel rodziny, Teodora Blewaska, z samozaparcem do jakiego zdolne są chyba tylko kobiety, poszła do pracy.

7.

Choćby pchnęło ją do tego osobiste nieszczęście, Teodora Blewaska nie żałuje dnia, kiedy po raz pierwszy przestąpiła bramę zakładów im. „Fornalskiej”. Została szwaczka i znowu pracowała razem z matką, czy raczej obok matki. W fabryce spotkała swoje znajome z firmy Guenter Schwarz, więc nie czuła się obco, ale nawet gdyby nikt tu nie miał, dałaby sobie radę.

W środowisku pracujących jak i ona kobiet, szybko otworzyły jej się oczy. Zrozumiała nagle bezsens swojego dotychczasowego życia. Kochała dzieci, ale pojęła, że życie rodzinne wciąż nie musi oznaczać zaprzeczenia osobistych ambicji. Uczyła się od swych współtowarzyszek, które także miały rodziny, ale potrafiły znaleźć czas na samokształcenie, podniesienie kwalifikacji zawodowych, na lekturę książek. Rzecz jasna udawało się to nielicznym, ale warto było chociaż spróbować.

8.

Zapytałam, czy ma jakiś stosunek do Marty, z powieści Orzeszkowej o tym samym tytule. Moja rozmówczyni uśmiechnęła się łagodnie i nie czekając odparowała:

— Łzawie banialuki. A swoją drogą szkoda, że nie ma książki o współczesnej kobiecie. Co zaś do bohaterów powieściowych, to moim ulubieńcem jest Złobka.

Rozmawiałam jednak dalej już nie o tym uroczym kłapuzku, tylko o brigadzie, która kieruje towarzyszką Blewaską, brigadzie, prawie wyłącznie złożonej z kobiet. Zresztą taka jest rzeczywistość całego zakładu, gdzie część męska przedstawia zaledwie 20 procent zatrudnionych.

Opowiadała o swoich współpracownikach z serdecznością, która każdego musiałaby rozbroić. Zna wszystkie ich sprawy,

te, związane z wykonywaniem przez nie prace, aż po kłopoty sercowe i rodzinne. Nie ukrywała i swoich własnych trosk o dzieci, które mimo uzdolnień zdają się nie doceniać dobrodziejstwa nauki. Starszy syn założył już rodzinę i tym samym, jak ona przed laty, praktycznie zamknął sobie drogę do uzupełnienia wykształcenia. Młodszy syn stoi dopiero przed trudnym wyborem zawodu. Czy starczy mu ambicji i woli, aby odważyć się na walkę o studentki indeksy?

Są to kłopoty czulej matki, bo przecież mimo poważnego zaangażowania w pracy zawodowej i społecznej, nie spuszcza oka ze swych dzieci.

9.

W pracę społeczną zaangażowała się poważnie w roku 1959 od czasu wstąpienia w szeregi Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nawyk z czasów młodości, czytanie książek, przysłał jej się bardzo, kiedy już po rocznym stażu partyjnym powierzono jej funkcję agitatora. Wywazywała się ze swoich obowiązków tak dobrze, że organizacja partyjna w zakładach wybrała ją na sekretarza propagandy. Wtedy też pomysłowała o tym, aby nareszcie zrobić maturę — zapisała się do Technikum Ekonomicznego.

— To był chyba najtrudniejszy okres w moim życiu — mówi teraz — chociaż zakład starał się iść mi na rękę. Dom był tak straszliwie zaniedbany, że ogarniało mnie zniechęcenie. Ale matka mi bardzo pomogła.

W dzień po złożeniu egzaminu dojrzałości wybrano ją na członka Egzekutywy KD PZPR Łódź-Sródmieście.

10.

Pracuję tutaj już ponad dziesięć lat i przez cały ten czas zakłady zmieniały się na jej oczach. Założono klimatyzację, udoskonalono stare urządzenia, sprowadzono nowe maszyny.

— Ale to wszystko dalekie jeszcze jest od doskonałości — mówi z jakąś powagą, jakby zapominając o mej obecności, i narazie się ożywił.

Chodzi o to, że już w najbliższych latach przewiduje się budowę nowego zakładu. Część hal, które wznoszą się dzisiaj, zostanie zburzona, pobiegnie tędy ulica. Na potrzeby fabryki

wzniesiony zostanie pięciopiętrowy budynek kosztem 35 mln złotych. Sprowadzi się też z zagranicy najnowocześniejsze maszyny kosztem dalszych 16 mln złotych.

— To nasza nadzieja, ale także troska, bo trzeba już teraz pomyśleć o zabezpieczeniu sobie pracowników, a o kadry wcale nie jest łatwo.

11.

Tym przyszłościowym sprawom, choć w oparciu o aktualne doświadczenia zakładów, poświęciła Teodora Blewaska swój głos w dyskusji na zakładowej konferencji partyjnej. Mówiła o młodzieży, której trzeba poświęcić więcej uwagi i serca, bo przecież właśnie ci młodzi ludzie stanowią nadzieję rozbudowanych i zmodernizowanych zakładów.

Nie wszystkim podobało się jej przemówienie, bo nie ukrywała niedostatków tej trudnej i odpowiedzialnej pracy, ale wszyscy wysłuchali ją z uwagą i obserwując twarze ludzi czuła, że większość myśli tak samo jak ona.

A kiedy wybrano ją delegatem na V Zjazd partii, chociaż ogrom zaufania i odpowiedzialności przeraził ją w pierwszej chwili, czuła się szczęśliwa.

12.

Druga zmiana. W koiłowni ledwie wyczuwalny zapach octu. Wszedliśmy się tu wysoko, na najwyższą kondygnację, bo chciałem na własne oczy zobaczyć brygadę Teodory Blewaskiej, brygadę, która tak dobrze poznałem z powieści.

Nie chciałem przeszkadzać im w pracy. Zakłady podjęły dodatkowy czyn produkcyjny wartości 200 000 złotych. Wiew tylko patrzyłem jak się zwijają sortowaczki, nakładaczki, jak ze spokojem i wprawą krojeży wprowadza pod nóż kilkunastowarstwowa płaszczynna tkanina.

Teodora Blewaska podszła do swoich ludzi. Coś tam do kogoś powiedziała, ale nie słyszałem jej słów. I pomyślałem sobie wtedy, że gdyby jeszcze żyła Marianna Fornalska i ona zaakceptowała by całym sercem wybór delegatki na Zjazd partii, dokonany przez załogę zakładów noszących imię jej córki.

KONRAD FREJDLICH

PRZYSZŁOŚĆ TKANIN, KTÓRYCH SIĘ NIE TRĄ...

Dalszy ciąg ze str. 1

Atmosfera pozbawiona nerwowości, pośpiechu.

Zastępca dyrektora inż. Stanisław Kopania z dumą pokazywał mi te hale produkcyjne, w których nie zabrakło nawet doniczek z kwiatami. Potem zaprowadził na oddział doświadczalny. I w ten sposób w tajemniczo zwołanym na dalsze punkty programu wprowadzania nowych technik „Kunickiego”, czy może raczej tym razem Malinowskiego, czy Malinowskiego, czy Malinowskiego. Bo malinowski i malinowski to dopiero jeden z punktów tego programu. W dalszym opracowaniu są inne techniki. Na przykład włókna płaska, klejona. Produkują się ją z włókien odpadkowych. Wygląda jak bibuła biurowa. Jest bardzo trwała i sztywna. Jej zastosowanie — sztywniki odzieżowe. Znacznie praktyczniejsza od wytwarzanych tradycyjnie, znacznie łatwiejsza do produkcji. Tu wyeliminowano już i przednie i tkanie. Ma duże szanse wyparcia z rynku wszystkich dotychczas stosowanych tkanin sztywnikowych, używanych w przemyle odzieżowym, dobrze znosi wodę, nie kurczy się.

Albo włókna igłowane. Zastępuje tzw. wkłady ocieplające, czyli watoliny, flaneli, filce, koce. Też bez tkanin i przedzenia przeobraża się bezpośrednio w runo. Ten rodzaj włókna robi się również na planie poliuretanowej. Podobno znacznie cieplejsze od tradycyjnych. Zresztą nowe rodzaje włókna, przewidziane głównie dla przemysłu odzieżowego, znajdują czasem nieoczekiwane zastosowania. Na przykład włókna płaska klejona, najniebezpieczniej okazała się świetna taśma filtracyjna dla przemysłu metalowego. Włókna igłowane mogą być materiałem izolacyjnym. Niemcy powlekały je derma i innymi tworzywami i używała jako „chodników dla szkół i szpitali, obić do samochodów itd.

To jednak są rozważania wybiegające w daleką przyszłość. Na razie „Kunicki” realizuje pierwsze zamówienia dla „Próchnika” i innych zakładów odzieżowych, na razie wszystko jest jeszcze na etapie prób, badań, eksperymentów. Na oddziale doświadczalnym stoją nowe agregaty jeszcze nieuruchomione, stoją dopiero części następnych. Tym razem już polskie, projektu Instytutu Włókiennictwa. W przyszłości projektuje się uruchomienie kilkunastu agregatów i produkcji wszystkich asortymentów na skalę przemysłową. Być może prototypy, wypróbowane u „Kunickiego”, zostaną powielone w innych fabrykach kraju.

Malinowski ma wielką przyszłość. Niemcy dwukrotnie prezentowali u nas odzież z tych wyrobów. Od letnich tkanin sukienkowych i bieliznianych po ubrania, kostiumy,

placze. Nie różnią się niczym od wysokich gatunków tradycyjnych tkanin. Na tym tle polskie próby wydają się jeszcze dość skromnie.

— Za mały asortyment, produkcja pod wieloma względami jeszcze niedoskonała — mówi dyrektor Zagajewski. — A przecież nasz park maszynowy jest już zdolny do podjęcia produkcji na szerszą skalę. Mamy obszerny program na najbliższe lata. W pierwszym rzędzie prowadzi on do poszerzenia asortymentu. Musimy przełamać pokutujący u nas jeszcze tradycjonalizm w użyciu surowca. Aby produkować wyroby szlachetniejsze, będziemy stosować bogatszy asortyment włókien sztucznych i syntetycznych, jak włókna argona, anilana, elana, czy elanobawelna. Chcemy też skończyć z wyrobami uniwersalnymi. To wcale nieodbrze, że nasze malinowski nadal się i na sukienki i na zasłony okienne. Naszym zamierzeniem jest dostarczenie na rynek produktów o określonym przeznaczeniu: bieliznianych, odzieżowych, dekoracyjnych.

Innym mankamentem naszych nowych wyrobów jest ich nadmierna kurczliwość. Musimy sobie z tym zagadnieniem poradzić i tu podstawowym warunkiem jest unowocześnienie wykończalni. Korzystamy przecież z różnych włókien, które wymagają różnego wykończania. Wprowadziliśmy nasze plany produkcji ilościową natomiast opóźniliśmy program wykończalniczy. W tej chwili już przystąpiliśmy do modernizacji wykończalni, otrzymała ona nowy park maszynowy. Zainstalowanie dwu nowych filtrów druków pozwoli nam na wzbogacenie gamy kolorystycznej i zastosowanie nowych wzorów. Dotychczas w zasadzie mogliśmy produkować tylko malinowski w pasy. Nowe maszyny wykończalnicze pozwolą nam na wytwarzanie materiałów o szerokości 140 cm. Mamy nadzieję, że wówczas staniami się największym producentem tkanin dekoracyjnych.

Tak wyglądają problemy eksperymentu, szanse jego realizacji, powodzenia. Za tymi problemami kryją się ludzie. Oni ten eksperyment realizują. „Kunicki” zatrudnia ponad 3 tysiące robotników. Część pracuje na oddziałach doświadczalnych, w warunkach lepszych, część na oddziałach dawnych, produkujących tkaniny tradycyjne, a więc w gorszych, trudniejszych warunkach. Czy między tymi dwiema grupami nie ma konfliktów, jeśli nie zasrości, to żalu, że tamci mają lepiej, łatwiej?

Z tym pytaniem zwróciłem się już do I sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR, tow. Haliny Malinowskiej.

— Konfliktów na pewno nie ma, może trochę żalu, zwykłego, ludzkiego, jest, tak samo jak nieraz z żalem myślimy, że nasi sąsiedzi pracują lepiej niż my, że lepiej im się układa w życiu. Zresztą, wszyscy pracują na trzy zmiany, a do malinowski trzeba spełniać określone warunki: doskonały wzrok i stan zdrowia odpowiadający warunkom wymagającym w dzwielarstwie.

Wizyta w Komitecie Zakładowym złożyłam w momencie niezbyt odpowiednim, bo prawie w przeddzień konferencji partyjnej, mającej wybrać własnego delegata na V Zjazd partii. Moment był nieodpowiedni dla gospodarzy, którzy mieli ręce pełne roboty. Dla mnie był odpowiedni, bo od razu została wprowadzona w atmosferę ożywienia i gorączkowych przygotowań. Okres przedwyborczy postawił przed aktywnym „Kunickim” niemałe zadania. Czyniły się nowe zadania, zobowiązania podjęte dla uczczenia Zjazdu zostały wysoko przekroczone i osiągnięty wartości ponad 3 miliony złotych. 15 lipca odbyła się narada aktywu partyjnego, przygotowano jako podstawę do dyskusji dwa referaty. Jeden traktujący o zagadnieniach politycznych, drugi o ekonomicznych. 17 lipca rozpoczęły się wstępne dyskusje w grupach partyjnych. Do 8 sierpnia odbyło się 96 takich zebrań. Ich rezultatem były 34 wnioski dotyczące spraw politycznych, partyjnych, ekonomicznych, społeczno-bytowych, 18 wniosków skierowanych do administracji zakładów. Dotyczy wielu



Fot. L. Janczak

zagadnień, w pierwszym rzędzie przyspieszenia modernizacji wykończalni, zastosowania nowoczesniejszych maszyn, zwiększenia rytmiczności w zaopatrzeniu w barwniki i chemikalia, artykuły techniczne itd. Wiele uwagi poświęcono młodzieży zarówno w wnioskach pod adresem Komitetu Zakładowego PZPR jak i Komitetu Zakładowego ZMS — o szersze niż dotychczas umożliwienie młodzieży nauki w technikum (pracę w fabryce jest 3-zmianowa co stwarza tu pewne trudności), o troskliwszą opiekę nad młodzieżą przychodzącą do zakładów, o zaangażowanie młodzieży niezorganizowanej w sprawy partyjne, działalność społeczną. I wreszcie pod adresem władz partyjnych wniosek o podjęcie zdecydowanych kroków wobec 17-latków, którzy nie podejmują pracy ani nauki — przymusowe kierowanie ich do Hufców Pracy, gdzie otrzymają zawód i przejdą przeszkolenie wojskowe.

Wysunięto wnioski i pod adresem Ministerstwa Przemysłu Lekkiego i Zjednoczenia. O modernizację zakładów, rozbudowę oddziałów malinowski i malinowski, o synchronizację pracy wykończalni i jej unowocześnienie, wskazano na potrzeby uruchomienia fabrycznej linii włókna na miejscu. Barwne włókno przychodzić od 6 kooperantów ma często ten sam kolor, ale inne odcienie i to powoduje marnowanie surowca.

Długo można by wymieniać wnioski załogi. Znalazły się w nich i sprawy socjalne i bytowe, problem za małej liczby wyrobów rodzinnych i słaba organizacja wypoczynku niedzielnego i wiele innych. Uczestnicy konferencji z dużym zaangażowaniem dyskutowali na ile Tez zjazdowych problemy kraju i własnego podwórka, własnego gospodarstwa. W sumie na zebraniach grup partyjnych głos zabralo 168 osób. Tow. Malinowska z zadowolonym opowiadaniem o dużym upartymieniu załogi (ponad 21 proc. mężczyzn i ponad 23 proc. kobiet) należy do

partii. W ubiegłym roku przyjęło 57 kandydatów, w tym roku już 58 osób zgłosiło gotowość wstąpienia do partii, w tym 49 po marcu.

W momencie kiedy odwiedziłam „Kunickiego”, aktywny wybrał już kandydatów na delegatów zjazdowych. A ściślej mówiąc delegatów stanowili tu kobiety. Wybrano dwie wieloletnie robotnice zakładów: Wandę Kubiakową, która zasłużyła sobie na zaszczytny wybór. Tkaczka, od 1947 roku pracownica „Kunickiego”, aktywna działaczka społeczna i partyjna, jest członkiem egzekutywy Komitetu Zakładowego PZPR, wieloletnia grupowa partyjna. Jej kontrkandydatką jest Janina Piatkowska, która pracuje tu od 1946 roku, jest tkaczką, włókniarzem jest również jej mąż, pracujący u „Pindera”. Tylko syn „zdradził” włóknierski zawód, jest technikiem samochodowym. Obowiązki rodzinne i praca zawodowa nie przeszkadza Janinie Piatkowskiej w pracy partyjnej i zawodowej. Jest członkiem egzekutywy PZP na zakładzie, także przewodniczącą oddziałowej rady zakładowej. Daje się domyślić, że z tych dwóch kandydatek załoga wybrała Wandę Kubiakową, która na pewno będzie godnie reprezentować swój zakład, swych kolegów, swoje miasto.

Czas opuszczać „Kunickiego”, gdzie dzieje się tyle nowych i ciekawych spraw. Znow, tym razem wychodząc, mijam jasno oświetloną gablotę z malinowski i malinowski. Mój nadzieję, że zawartość tej gabloty nie będzie zbyt długo taka sama, że wkrótce pojawią się tam nowe, atrakcyjne tkaniny, że ci, od których to zależy, pomogą zakładom wyjść z etapu prób, rozważań i próżni — do szerokiej produkcji, pożytecznej i atrakcyjnej zarazem.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Stefan Mrożewski w Polsce

W lipcu br. przyjechał do Polski z dalekiej Kalifornii Stefan Mrożewski. Wiadomość ta zelektryzowała wielbicieli jego talentu. Mrożewski, przecież, to jedno z świetniejszych nazwisk w plastyce światowej. Najbardziej znany jako grafik-drzeworytnik — w tej dziedzinie zresztą zdobył światową sławę — uprawia Mrożewski wiele innych technik, jak: malarstwo olejne, pastelowe, na szkło, al-fresco, mozaikę, ceramikę i rzeźbę.

Uczeń Skoczyłasa, po ukończeniu warszawskiej ASP, gony nostalgą artysty, już w roku 1925 wyruszył w podróż na spotkanie sztuki całego świata. Tę cygańską wędrowkę z kraju do kraju, przerywaną kilkakrotnymi powrotami do Polski, którą artysta w różnych sytuacjach i warunkach zawsze w sercu nosi i dla jej sławy pracuje, zaczyna Mrożewski od Paryża, skąd przenosi się w 1932 r. do Amsterdamu, a stamtąd w trzy lata później do

Londonu. W 1938 r. zaś jedzie do Italii, by tam zacząć największe dzieło swego życia — ilustracje do „Boskiej Komedii”. Po przebytych w Polsce latach wojny i okupacji artysta podejmuje swą wędrowkę via: Paryż, Belgia, Holandia, Anglia, Stany Zjednoczone, gdzie osiada na dłużej w Kalifornii.

Prowadząc wędrowny tryb życia „na walizkach” Mrożewski poznaje sztukę wszystkich kich wieków, narodów, obcuje z arcydziełami największych mistrzów świata. Nie ztrąca jednak swej indywidualności artystycznej, choć nie jest mu obcy żaden nowy i modny kierunek w sztuce. Jego potężny talent nie zatracił nic ze swej oryginalności.

— „Jeździł się do świecie nie po to — pozwolił sobie przytoczyć własne słowa artysty — by importować cudze. Uczmy się człowiek tylko rzemiosła i nabiera odwagi... Ja nigdy nie kopiowałem nikogo. Po nauczaniu się rzemiosła nikomu w karty nie zaglądałem pomimo, że włożyliśmy się po świecie coś 40 lat. „Chodził mi o to, by to, co zrobić było moje własne”.

I rzeczywiście, oryginalność Mrożewskiego jest oryginalnością najwyższej klasy, a kto raz ujrzy jego prace nigdy go już nie pomyli z kimś innym. Dzięki swemu niepospolitemu talentowi i wyjątkowej pracowitości, już w czasie pierwszego pobytu w Paryżu, Mrożewski jako

zupełnie młody, nieznany nikomu artysta robi szybko karierę, zdobywa sławę. Podbił a znawców sztuki dynamiką, temperamentem i żywiołowością swych prac. Zwraca na siebie uwagę wydawców dzieł luksusowych, którzy umieli korzystać z jego talentu. Dzięki temu powstają wspaniałe cykle ilustracyjne do największych arcydzieł literatury światowej, jak: „Bracia Karamazow” Dostojewskiego, „Król w złotej masce” Schwoba, „Mały i Wielki Testament” Villona, „Parsifal” Wolframa von Eschenbach, „Faust” Goethego i in., a przede wszystkim korona jego twórczości, „Boska Komedia” Dantego, zaczęta w Rzymie w 1938 roku, kontynuowana w innych miastach włoskich, jak Terracina, Aquileia, Perugia, Assyż, Florencia, Neapol, Palermo — następnie w Polsce, Francji, Belgii, Holandii, USA.

Z arcydzieł polskiej literatury znalazły w Mrożewskim interpretatora plastycznego dzieła: Mickiewicza — „Ballady i romanse”, „Pan Tadeusz”, Słowackiego — „Smutno mi Boże”, Norwida — „Trzy miłości”, Sienkiewicza — „Nowele”, Żeromskiego — „Duma o hetmanie”, Chyrowskiego — „Opowiadania szlacheckie”, Kossaka-Szczuckiej — „Gród nad jeziorem” i in. Na szczególną uwagę zasługują ilustracje do „Legend Warszawy” wydane niepospolitemu talentowi i wyjątkowej pracowitości, już w czasie pierwszego pobytu w Paryżu, Mrożewski jako

Wstał się również Mrożewski jako twórca kapitalnych portretów, wykonywanych w technice drzeworytniczej. Traktuje je realistycznie, wydobytą najistotniejszą rys osobowości, modela, co jeszcze dodatkowo wzmacnia przez umieszczenie w tle scen związanych z jego życiem i twórczością.

Godny uwagi dorobek posiada artysta poza tym w zakresie ekslibrisu (ok. 160). Tu, podobnie jak w portretach chwytą tajemnicę indywidualności każdego właściciela ekslibrisu. Również jako twórca znaków książkowych zdobył Mrożewski spośród grafików polskich największe uznanie i rozgłos, zwłaszcza w świecie anglosaskim i w Holandii.

Tematyka prac artysty jest rozległa jak samo życie. Wchodzi tu pejzaże, architektura miast, sceny rodzajowe, miłosne, biblijne, wojenne, baśniowe. Jako człowiek bardzo głęboko wżyty w Polskę, bardzo spragniony stałego kontaktu jego sztuki z krajem, chętnie czerpie Mrożewski tematy z życia ojezycznej ziemi.

W najcieplej stosowanej w swych pracach technice drzeworytniczej, operując wielorodzowym ryłcem osiąga Mrożewski efekty wręcz oszałamiające. Jego drzeworyty czarują eteryczną lekkością, dynamiką, żywiołowością i rozmachem kompozycyjnym, jarzącą ekspresywnością i bogactwem rytmicznego kształtu. Charakterystyczna jest wypowiedź zakonspirowanego

pod inicjałami R. Z. autora, piszącego o ilustracjach M. do „Parsifala” w „Tygodniku Ilustrowanym”: „Jeżeli „Janowski” Skoczyłasa byli rudymenarnymi korzeniami nowoczesnej sztuki drzeworytniczej, to ostatnie planse Mrożewskiego mogą śmiało uchodzić za wytwórny, niemal przerafinowany kwiat w dotychczasowym jej rozwoju”.

Mrożewski wystawia swe prace w kraju i za granicą w takich miastach jak Paryż, Rzym, Wenecja, Amsterdam, Haga, Rotterdam, Londyn, Hamburg, Berlin, Wiedeń, Madryt, Moskwa, Chicago, Los Angeles, Oakland i in. Nagradzany na wszystkich międzynarodowych i krajowych wystawach, pierwszą nagrodę otrzymał w roku 1908, gdy jako młody chłopiec wziął udział w ogólnopolskim konkursie rysunkowym, zorganizowanym dla dzieci we Lwowie — ostatnio w styczniu br. w New Yorku na całą działalność artystyczną. Artysta jest czołowym wieloletnim pracownikiem i skromności. Ceniąc wartość czasu wykorzystuje każdą chwilę i niemalże każdą chwilę na tworzenie dzieł nowych, zaskakujących swoją świeżością i bogactwem koncepcji. Prawdziwa niespodzianką są jego barwne, śmiałe jak wszystko co tworzy, pejzaże kalifornijskie wykonane ostatnio w technice pastelowej. „Mrożewski — pisze S. Kalnicki — jest bezsprzecznie tym grafikiem polskim, który w dobie współczesnej

zyskał największy na świecie rozgłos. Imię jego szeroko jest znane poza granicami Polski, jako imię artysty o niezwykłym talencie i o wielkim dorobku twórczym”.

Wędrując z kraju do kraju i zyskując swymi pracami uznanie, podziw i entuzjazm cudzoziemców, którzy go nazywają Panaminim ryłca, rozstawia Mrożewski imię Polski po całym świecie i ustala onie zagranicę o wysokim poziomie polskiej sztuki.

Mrożewski przyjechał do kraju, pełen tęsknoty za wszystkim co polskie i z rękoma pełnymi owoców swego trudu. Przywiózł z sobą ok. 400 nowych prac. Oczekujemy kilku jego wystaw, m. in. w Łodzi, która artysta odwiedził w drugiej dekadzie sierpnia. Z miastem naszym jest Mrożewski związany latami wczesnej młodości, tu bowiem w okresie 1912-1918 uczył się rysunku i malarstwa w szkole prof. Jerzego Lehmana. Właśnie w Łodzi otrzymał artysta pierwsze o tym kunsztu nauki.

AMELIA BURSOWNA

- 1) List artysty do autorki artykułu (San Francisco 19/5 1966).
- 2) (R. Z.): Nowy sezon plastyczny — Tyg. Ilustr. 1966 II, nr 42.
- 3) Stanisław Kalnicki: O twórczości Stefana Mrożewskiego w zakresie ekslibrisu. Monachium 1946.

Londyński TYGIEŁ

Kogo się bardziej nie znosi nad Tamizą?

Wszelkiego typu bloody foreigners, więc przeklętych cudzoziemców, czy wszelkiej maści „kolorowych”?

Oto jest pytanie.

Bo że się nie lubi ani jednych ani drugich, to dla mnie pewnik i żaden profesor ani kaznodzieja szkółki parafialnej mi nie wmówi, że jest inaczej. To jedynie, że londyńczyk na tyle jest w świecie obyty, na tyle kulturalny, że z ksenofobia tak się nie obnosi, jak bogobojny parafianin z księzką baldachimem. Wcale swych uczuć, które są głęboko w nim zakopane, nie obnosi jak wojownicze wyznania wiary. Zająć na tle rasowym nie zanotowano ostatnio w londyńskich dokach. Manifestacje niechęci, zgola wrogości wobec cudzoziemców z kontynentu są i były natomiast czymś raczej zwykłym i codziennym.

Zwłaszcza w Bournemouth.

Ale foreigner też nie jest równy foreignerowi. Anglik potrafi na tym polu przeprowadzać wciąż nowe podziały w zależności od politycznej koniunktury i sytuacji. Holendrów zawsze darzono wielką i szczerą sympatią. Nikt nie potrafił jak Holendrzy ujarzmić morza, nikt tak jak oni nie rozumie żywiołu zwanego woda. Holendrzy imponują Anglikom od wieków. Dziś te gorące angielskie uczucia wyraźnie oziębiły. To Rotterdam pokusił się o tytuł do sławy. Wykradł Londynowi palmę pierwszeństwa. Jest teraz największym portem świata. Słyszał to kto? Londyn spadł na dalsze miejsce. Takiego afrontu nikt w City tak lekko nie przeżył. Szwajcarów też nikt zbytnio już nie kocha. Bo Szwajcarzy dokonali innej sztuczki. To Zurych wydarł Londynowi berło i koronę. Już nie londyńska City, lecz niewielki Zurych stanowi centrum światowych finansów. Nawet rodzina lordowskich Rotschildów musi się ugiąć przed dyktatem zuryjskich bankierów. A wróble na dachu londyńskiej giełdy ćwierkają, że kurs funta szterlinga jest cichcem i w wielkim sekrecie ustalany na tajnych posiedzeniach szwajcarskiej finansjery.

Tego się w Londynie nie zapomina, potęga tej metropolii opierała się wszak na dwu filarach: na flocie i na zlocie.

Tylko Skandynawów nikt w Londynie się nie czepia. Nikt również, z wyjątkiem pewnego felietonisty „Daily Mail” nie wymyśla Niemcom.

— The Germans są O.K. — oświadczył mister Charles Forté z Bournemouth.

— A Francuzi?

— The Frenchmen? To petaki, z którymi lepiej się nie zadawać. Jedną taką bandę francuskich studentów musiałem wyrzucić za drzwi...

— Czyżby?

— Oczywiście, nie chcę mieć z Francuzami do czynienia...

Hm, a wszystko o to poszło, że młody paryski student odważył się wejść do restauracji mister Forte'a w towarzystwie kolegów z białym króliczkim na reku. Królika potraktowano jako kamień obrazu. Wszystko o to poszło, że francuscy studenci w innych restauracjach kapieliska w Bournemouth wyspiewywali chórem jakieś dziwaczne piosenki, zbyt głośno opowiadali dowcipy, siedzieli nad piętami piwa cały wieczór, a szynkarz z obrotu przecież żyje, a nie ze świętego powietrza i morskiej kapieli. Wic szynkarze zmówili się, że Francuzików trzeba gonąć na zbity łeb. Tak też zrobili. Studenci przemieśli się więc na miejski trawnik, który rzycho ochrzczono nazwą „French Corner”. Ale i to niewiele pomogło, burdy nie ustawały.

Z Francuzami są kłopoty.

Dlatego są kłopoty, że ci Frenchmen strugają waźniaków, są napuszeni jak koguty, zaczepni, arogancy, wciąż im się zdaje, że to oni są jedyną Grande Nation na tym kontynencie. Więc trzeba im to wybić z głowy, bo jeszcze gotowi uwierzyć, że John Bull już ostatecznie zszedł na psy i teraz oni są góra. Wolnego, messieurs, wielu tak myślało i się bardzo grubo przeliczyło — Angliki schodzą na psy od wieków i jakoś dość nie mogą. I długo jeszcze nie zjedzą. Dość, że z „kolorowymi” tych kłopotów na razie nie ma. Znają swoje miejsce. Nie pchają się, gdzie się ich nie prosi.

Na oko nic nie mają pokojowej koegzystencji rodowitych Koknejów z Jamajczykami, Pakistańczykami z Chińczykami. Tygł nad Tamizą jest nie byle jaki. Na ogół Murzyni z Jamajki nie wychylają się. Zająmają określone ulice w określonych cichych umowa dzielnicach. Gdzieś tam biegnie przez gigantyczną metropolię niewidoczna linia, której nikt nie odważa się przekro-

czyć. Prawo, jak na Anglie przystało, jest nie pisane, opiera się na zwyczajach i tradycji. Żadnych oficjalnych ograniczeń nie ma. Ale funt szterling swoją rolę gra znakomicie. Murzyn może zamieszkać na West-Endzie. Nikt mu tego nie zabrania. Jednak Murzyn tam nie mieszka. Bo gdyby zechciał, to musiałby wpiąć koszulę sprzedac, żeby czynsz opłacić i jeszcze by tego było mało. Pozornie nie harmonii nie ma.

Każdy zna swoje miejsce. Tylko, że Jamajczykom też na ambicji nie zbywa. Są przeświadczeni o swych możliwościach, w ogóle są w natarciu.

Najciekawsza panorama Londynu rozciąga się z okna piętrowego busa lub z okna kolejki nadziemnej, sunacej szybko usypkaniem na wysokości drugiego piętra. Z okien może się zdawać, że największym skupiskiem ludności kolorowej jest Herne-Hill, Streatham, także Brixton, gdzie mnóstwo okropnych ruder i bliskowschodnich, orientalnych kupców branży tekstylnej, żelaznej, co ciekawo również jubilerskiej. Kiedyś jednak pewnego dnia wystąpił na Cumberwell-Green, aż oczy przetrzął z wrażeń. Londyn to czy Kingston na Jamajce? Przed czterema laty tego nie było. A teraz co drugi, trzeci przechodzący był „blackmanem”. Statystycznie rzecz biorąc. Wielka Brytania liczy ponad milion kolorowych, mniej więcej 2 procent ogółu ludności. Wic nie tak znów dużo. Ludzie innej jednak niż Angli-

tem w tej branży ani jednego. Honory pana domu spełniali z godnością, mocno wiekiem zaawansowani biali dżentelmeni w białych koszulach i czarnych krawatach. Swój listę signum temporis to może i jest. Nie spotkałem też Jamajczyków wśród ulicznych sprzedawców gazet, ani pośród grajków-zebraków, którzy nie wiadomo kiedy zaludnili wszystkie podziemne przejścia pod najbardziej ruchliwymi skrzyżowaniami. Na przepięknych stacjach kolejowych Victoria, Liverpool i Waterloo, nie zauważyłem też ani jednego Murzyna-czyżubita, choć białych czyżubitów wcale tam nie brak. A może ten zawód jako dochodowy opanowała biała dintojra?

Może gra tu jeszcze inny czynnik?

Ciemnoskórzy unikają jak ognia zawodów, które rzekomo degradują społecznie.

Jest to przejaw samoobrony. Czyścić czyścić buty? To upokarza. Przepomina niewolniczą przeszłość w służbie białego pana.

Grajki w „subwawach” mają smukłe figury wdzięcznych efebów. mają marzycielskie oczy i blade twarze biblijnych ascetów. Noszą brody. Aby intelektualna poza była pełna, zakładają też ciemne okulary. Z gitara w roku śpiewają smętne podwózkowe ballady, ale z takim ogniem i w takim



cy rasy żyją zwykle w wyodrębnionych skupiskach i to wywołuje złudzenie fali, która co bardziej konserwatywnie nastawieni Koknej nazywają nawet kolorowym zalewem.

Jeden z bardziej bystrzych uczonych, Anthony Sampson zauważył, że Wielka Brytania nie zdoła prosperować w izolacji, że walijscy, szkoccy, kanadyjscy, żydowscy i murzyńscy imigranci wnoszą na Wyspy ducha przedsiębiorczości i są jak owe drożdże w nażbył już zastalym cieście. Imigrantów świeżej daty rozpięta energia. Zaczynają dominować w tych galeziach gospodarki, które rozwijają się najszybciej, przeto w elektronice, telewizji oraz wielkim handlu. Jaka uboga byłaby współczesna Anglia bez jednostek tej miary co John Bloom, Sir Leon Bagrit, Sir Billy Butlin, Sir Eric Roll, Sir Jules Thorn i Sir Solly Zuckermann... Wydaje się jednak, że Sampson, być może celowo, nieco przebolewał i jego ukłon w stronę imigrantów jest zbyt głęboki.

To zresztą jeden ze starych chwytów Brytyjczyków, którzy lubią wygłaszać o sobie najbardziej dwuznaczne opinie, a potem przysłuchują się z sarkastycznym uśmiechem, co inni o tym sączą.

To prawda, Jamajczycy pną się do góry.

Przynajmniej usiłują.

Kilka lat temu w każdym londyńskim szalecie, w owych słynnych lajetoriach, które są interesem rozgałęzionym o wielu dziwnych choć przydatnych urzędzeniach i dość dużym personelu, zawsze spotykało się paru Jamajczyków. W tym roku nie spotka-

majczyka do swego biodra, Kołyszę nim, oczywiście biodrem, jak fala żaglówka.

W Hyde-Parku blondynka leży przy Jamajczyku na trawie. Leży i ma oczy wbite w jasne niebo, które przecinają wielkie odzrutowce. Schodzą na Heathrow-Airport, lub stamtąd się podnoszą. O czym myśli blondyna? O dalekich krajach za morzami, które niegdyś podbili jej przodkowie, czy o małżeństwie z czarnym Jamajczykiem? Dł takich małżeństw dochodzi, owszem, choć niezmiernie rzadko. Bez porównania częściej dochodzi do rendez-vous na zielonej łące. Oddaje się złudzeniu, kto sadi, że Jamajczyk ugania się za blond-dziewczyną. Nie podobnego. To piękna jak marzenie, wiotka i wdzięczna blondyneczka z dobrego domu, ugania się za czarnym jak heban Jamajczykiem. I to publicznie. Bez żenady. Na oczach całego świata.

Nad londyńskimi parkami unosi się motto: Nie wtrącaj się do cudzych spraw, pilnuj swego nosa.

Wełczorem mrok ogarnia zieleni Hyde-Parku. Zza mgły przeświecają żółte oczy latarni o żółtawym, upiornym świetle. I nikt już wtedy się nie dowie co się dzieje na murawie koło Serpentine, choć dzieje się więcej niż by mogły się domyślać stare panny z Clochemerle. Czarni są w modzie. Blond dziewczętom się wydaje, że każdy z nich jest w hebanie rzeźbionym Adonisem. Wiele dziewcząt jest też zdania, że ciemnoskórzy mężczyźni wyglądają dużo zdrowiej niż zblazowany młodzieniaszek z public school, z którym nie wiadomo co trzeba wyrabiać, żeby go nieco rozkolysać. Prócz tego ci czarni boys jak ich co ukasi, lubią garściami wyrzucać szylingi. Tylko, że czarne dziewczęta z Jamajki wcale tym wszystkim zachwycone nie są. Twierdzą, że co przystojniejszy i lepiej się zapowiadający czarni chłopcy padają łupem białych dziewcząt. One zaś, choć rodem z Jamajki, muszą się obejść drugim rzutem.

Lup to jednak, o ile dobrze się zorientowałem, bardzo krótkotrwały.

Zabawa na kilka miesięcy, jej epilog od wielkiego tylko dzwonu kończy się wymiana ślubnych obrączek.

Zdobycie białej girl jest dla Jamajczyka równoznaczne ze zdobyciem najtrudniejszej cytadeli w społeczności białych ludzi. To jednak nie takie znów proste. Rzadko rodzice panny młodej patrzy obojętnym, nie mówiąc już, przychylnym okiem na amory córki z „blackmanem”. Choćby nawet ten „blackman” był obiecującym studentem i wprost tryskał inteligencją. Zimno się im robi na myśl, że musieliby przwiać jako własne, czarne jak smoła wnuczka, że rodzice wysyłają wtedy córkę do psychiatry pod pretekstem, że jest zbezczona i nienormalna. Lub oddają córkę w ręce sądzików pod pretekstem, że jest trudna do prowadzenia i powinno się ją skierować do poprawczego domu. Latwiej już im pogodzić się z myślą o poprawczym domu niż z myślą o czarnym domowniku, który by robił co chciał z ich ukochaną córeczką.

Anglię są narodem szczególnym.

W ich żyłach płynie krew collycka, rzymska, duńska, anglosaska, także francuska. Ich język jest mieszaniną słów germańskich, łacińskich, no, i starofrancuskich. Anglię są udanym koktajlem wielu różnych narodowości. Co pare pokoleń, wskutek działania różnych sił, do wyspiarskiego tygła dostawała się wciąż inna krew w dobrze odmierzonych dawkach. Wszedł z tego naród preżny, dynamiczny, nieprzeciętnie uzdolniony, który do dziś dzień niewiele ma równych w nauce, technice, literaturze a ostatnio, o dziwo, w muzyce, choć Niemcy już przed wiekiem wolali, że Engländer to „Volk ohne Musik”, naród bez własnej muzyki. Do tygła dopuszczono w tym wieku także krew murzyńska. Ale po angielsku, ostrożnie, w niewielkiej tylko dawce. Przecież w tym roku już zatrzęsnięto z wielkim hukiem bramy Zjednoczonego Królestwa przed wszelką imigracją. Szczególnie jednak przed imigracją ludności kolorowej. Dla ludzi o czarnej skórze zarezerwowano w Anglii mniejsza roczna kwota imigracyjna, niż zarezerwował rząd Stanów Zjednoczonych dla Chińczyków. A Chińczykiem straszny się dzieje w Kalifornii.

Tak więc skończyło się. I nieprędko wróci.

Francuzi to problem odrębny, rozdział inną pisany czonką.

Może wzajemna nieufność obu narodów ograniczonych wąskim tylko kanałem jest przejawem Hass-Liebe kompleksu? Miłość i nienawiść graniczą wszak przez międrę. Kto wie. Oba te narody zbyt wiele sobie wzajem zawdzięczają, by nienawidzić się na serio. Jest przecież czymś zastawiającym jak wielu Francuzów odwiedza Londyn i jak wielu londyńczyków wyskakuje na weekend do Paryża. Nad kanałem działa latem prawdziwy most powietrzny. Tysiące Francuzów na wszystkich głównych ulicach Londynu, setki szkolnych i studenckich wyćieczek. Młodzieńskie studentki zajmują trawniki, zielenie, rozkładają się w małym parku na Grosvenor Square. A szezebioczą bez przerwy, krzykliwie jak papużki na grządkach. Na ławce siedzą młodzi Anglię w szerokich kapeluszach z jakiegoś public school'u. Patrz na dziewczęta bez ruchu, spokojnie, wreszcie zaczynają nucić — „Sur le pont d'Avignon”.

Dziewczęta się śmieją.

Młodzieńcy dalej siedzą bez ruchu. Zabawne Francuzeczki, tylko czy aby...?

Raptem poderwali się z miejsca i wciąż nuciąc prastarą piosenkę francuską wyszli na Brook-Street. Poszli przed siebie zbita gromada lekkim, wysportowanym krokiem młodych dżentelmenów. Dziewczęta nie odrywały od nich oczu. Może ci zgrabni chłopcy choć raz się obejrzą? Próżne nadzieje. Młodzieńcy w szerokich kapeluszach nie obejrżeli się ani razu.

RAFAŁ ORLEWSKI

Impresja z Oświęcimia

Zachować deszcz w marmurze nocy

plómienie chmur — oddechy nieba

to jakby w głowie Zeusa toczyć

strzały ogniste — trzciny gniewu

Zachować ostrość w ruchu dłuta

gdy człowiek siebie zmienia w kamień

to jak zapląta dłoń w drutach

na których płonie świata pamięć

Chwila czarnej róży

Przychodzi chwila czarnej róży,

gdy kamień spada w lustro, głąb.

Jesteśmy lustrem. Wśród podróży

serca zdrętwiałe w kamień schną.

Przychodzi chwila czarnej róży,

cień między nasze kładąc dnie..

Kamień oblicze pięknie, gniewne

nurza bezymyślnie w zbitym szkle.

Szanowny

Panie

Redaktorze!

Gdy zajęliśmy do Piotrkowa i wstąpiliśmy do Miejskiej Biblioteki Publicznej, która została urządzona w dawnej synagodze, powitała nas biała cisza. Godzina była dość wczesna, bo 10.00 — a Bibliotekę otwiera się dopiero o 14.

Ale w jednym małym pokoiku, który Biblioteka używała na czas remontu Muzeum Piotrkowskiego zastaliśmy dwie panie, które poinformowały nas, że remont zamku, Muzeum potrwa jeszcze co najmniej rok, że prace kamieniarskie posuwają się bardzo powoli, że wszystkie zbiory poukładano na ten czas gdzie się dało: w szkołach i magazynach; że prace przesunięto z powodu gwałtownych robót przy przekształceniu synagogi w Bibliotekę, bo warszawskie PeKaZety nie mogły równocześnie pracować nad zamkiem i synagogą, że wszyscy już mają dość tej tymczasowości, która trwa już pięć lat.

Panie informowały mnie z obowiązku, po czym odwróciły się do swoich zajęć, bo opowiadanie ciągle tego samego od paru lat może doprowadzić do śmiertelnej nudy.

Przeprosiłem więc za najście i już zdążyłem ku drzwiom zły, że jakoś nie z tego piotrkowskiego wyjazdu nie wyszło — ale miałem mimo wszystko trochę szczę-

cia, bo w progu pojawił się mgr Ryszard Kalinowski, kierownik Muzeum, zawrócił mnie i opowiedział, że mimo tego bałaganu w zamku, nie jest tak źle, bo Muzeum mimo trudności prowadzi ożywioną działalność kulturalną, organizuje prelekcje, wystawy malarskie, konkursy sztuki ludowej (w dziale etnograficznym), prowadzi prace archeologiczne, penetruje tereny powiatu piotrkowskiego, radomszczańskiego, bełchatowskiego itp. Projektowane otwarcie skansenu chwilowo odłożono; wkrótce zostanie otwarte Muzeum Czynu Partyzanckiego w Polichnie.

Słowem, ruch mimo, że zamek ciągle nie gotowy i na pierwszy rzut oka tak jakby Muzeum nie istniało; maleńki, pożyczony pokój wcale nie nasuwa myśli, że w ogóle coś się w tym Muzeum dzieje.

Potem temat się wyczerpał, obejrzałem dzięki uprzejmości pań całe wnętrze białutkiego budynku, którego gorączkowe przygotowania widziałem w tamtym roku — na pięć minut przed otwarciem. Teraz jest pięknie i czysto; regały grzecznie stoją obciążone ciężkimi książkami, książkami, książkami; działają: naukowe, popularnonaukowe, specjalistyczne, literatura piękna, poezja i całkiem zabawne książeczki dla dzieci.

Uprzejmie panienki pokazały chętnie wszystko co mają do pokazania w Bibliote-

ce; wszystkie zakamarki, urządzone z dużym smakiem i prostotą; tu należą się wielkie brawa dla PeKaZetów. Duża, jasna czytelnia, pod sufitem wisi piękny, kuty z czarnego żelaza, okrągły żyrandol, pomysłu kolegi Morgi.

Chodząc tak i zglądając w różne pomieszczenia, doczekałem się wrzecie przybycia kierowniczk Biblioteki pani Kowalskiej. I dowiedziałem się od niej, że Biblioteka posiada już 80 tysięcy tomów, że dziennie przewożą się przez nią 200 osób w lecie, a 300 zimą, że młodzież i dzieci ciągle licznie odwiedzają Czytelnię, że Czytelnia zawsze jest pełna, że otwarcie Biblioteki nastąpiło w zeszłym roku 4 listopada, że Piotrkowska Miejska Rada Narodowa bardzo dba o Bibliotekę, ciągle dokłada nadprogramowych pieniędzy na zakup coraz to nowych książek, których zbiór rośnie jak na drzewach; że Bibliotekę otwierał uroczystość sam p. minister Wiczołek i feta z tego powodu była wielka; że urządziła się tutaj wieczory autorskie, odczyty, spotkania z literatami i artystami — ba! — nawet koncerty tutaj bywają!

Pani Kowalska ma wielkie uznanie dla Piotrkowskiej MRN i wielce sobie jej pomoć cen. Bo MRN jak może tak się stara, aby Bibliotekę wzbogacić, nadać jej coraz większą rangę; że robi wszystko aby było jak najlepiej; że piękna Biblioteka jest oczkiem w głowie piotrkowskich władz.

Wszystkie te miłe wiadomości bardzo skróciłem i szybko, bo czas otwarcia — godzina 14 — zbliża się nieubłaganie i trzeba było możliwie szybko dowiedzieć się o wszystkich tych sprawach. Co uczyniwszy, przekazałem wszystkie te nieco suche i pospieszne, zadyszane niejako informacje do wiadomości PT. Czytelników.

Łącząc wyrazy szacunku
WACŁAW KONDEK

JAN KOPROWSKI

NORWID na scenie

W języku niemieckim istnieje termin „Buchdrama”, dramat książkowy, na oznaczenie takiego utworu o charakterze scenicznym, który bardziej nadaje się do czytania, niż do wystawiania. Do dziś utrzymuje się pogląd, że większość dramatów Cypriana Kamila Norwida to utwory trudne do realizacji w teatrze ze względu na język, który jest typowym językiem pisanym, z jego zawiłymi, gdy tymczasem scenie potrzeba języka mówionego, języka potocznego. Nie sadzą, aby należało podtrzymywać tę opinię, zwłaszcza obecnie, kiedy w teatrze wystawia się rzeczy uznawane tak niedawno jeszcze za całkowicie ateatralne. Na scenie — jak twierdzi pewien wybitny reżyser — da się wystawić wszystko, nawet książkę telefoniczną.

Kilka lat temu oglądaliśmy w Łodzi „Obronę Sokratesa”

„Pierścienia wielkiej damy” za wiele miał do powiedzenia, jego wiersze i dramaty nabiły się filozofia i dlatego wydała się niekiedy niezrozumiała. Tym więcej, że istotnie język Norwida sztuczny jest i nadzbyt czasami wymyślny. Gdy się czyta Norwida, czuje się wprost jak ten wybitny pisarz-myśliciel, pisarz-filozof łamał się z tworzywem, jak przez zawiłości i spiętrzoną składnię dochodził do rzeczy prawdziwie pięknych i głębokich.

„Pierścień wielkiej damy” nazwał Norwid białą tragedią. W białej tragedii, odmiennie niż w czarnej, gdzie trup ściele się gęsto — nikt nie ginie. Biała tragedia jest bezkrawa tragedią cierpiących serc, zawiedzionych nadziei, nieosiągniętych celów. „Cichym ludziami świat miejsca żałuje”



Urszula Modrzyńska i Izabella Piętkowska w „Pierścieniu wielkiej damy”.

Platona, utwór, w którym nie ma właściwie żadnej akcji i w którym występuje jedna tylko postać, właśnie Sokrates, wygłaszający ze sceny długie, wielominutowe monologi. Jeśli przypomnę, że „Obrona Sokratesa”, rzecz bynajmniej niełatwa, obudziła zainteresowanie i cieszyła się powodzeniem u publiczności, to mówienie o nieszczerkości pewnych tekstów uznać wyładnie za rezultat leniwych nawyków myślowych, za nic więcej.

A przecież w dramatach Norwida coś się dzieje, występują w nich mocno obrysowane postacie, konflikty pogłębiają się i zmierzają ku swemu rozwiązaniu. „Pierścień wielkiej damy” napisał Norwid w roku 1872, gdy przekroczył pięćdziesiątkę. Z kraju wyjechał przed trzydziestu laty i nigdy już nie miał do niego powrócić. Historyk i krytyk literacki, wspaniały Piotr Chmielowski, pisał o Norwidzie: „Za mało miał do powiedzenia ogółowi, myśli jego były mętne i rozprzechliwe”. Nie jeden tylko Chmielowski mylił się w ocenie twórczości Norwida. Było akurat wprost przeciwnie. Autor

— mówi odzwierciana Salome i kto wie, czy w słowach tych nie kryje się jeden z istotnych sensów sztuki. Już z okazji wystawienia „Pierścienia wielkiej damy” w Reducie Oster wy w 1936 roku Boy, pisząc recenzję, zauważył, że jest w tej sztuce sporo elementów autobiograficznych. Hrabina przypomina trochę panią Kallergis, w której Norwid się kochał, zresztą bez powodzenia, a zarówno pod postacią grafa Szeligi jak i ubogiego poety Mak-Yksa kryje się sam Norwid, rozłożony jakby na dwa głosy. Mak-Yks, głodomór kradnący chleb z pańskiego stołu, to przecież poeta zmarły w przytulku paryskim w niedzię i opuszczeniu. Prawda, hrabina odda Mak-Yksowi rękę, ale to scena, nie życie. Na scenie happy-Andy, na wet w tragedii, trafiają się częściej, niż w życiu.

Przedstawienie „Pierścienia wielkiej damy” na dużej scenie Teatru Nowego jest ewenementem artystycznym. Jeśli nawet nie do końca udanym, to przecież ewenementem. Reżyser przedstawienia, Tadeusz Byrski, dowiódł, że Norwid jest sceniczny, że potrafił nas nie tylko zainteresować, lecz

także wzruszyć i do refleksji pobudzić. Przedstawienie w Teatrze Nowym jest bardzo czyste, artystycznie uporządkowane i piękne, do czego w nie małym stopniu przyczyniły się scenografia i kostiumy Xymeny Zaniewskiej. Rolę Hrabiny powierzono Urszuli Modrzyńskiej. Dobra to aktorka, promieniująca ciepłem i dobrocią, która nawet w gniewie i złości nie przestaje być sympatyczną. Ma też ona dobre sceny, szczególnie w akcie trzecim. Ale wydaje się, że Hrabiny to nie jej specjalność i rolę tę należało chyba powierzyć komu innemu. Są trzy role w „Pierścieniu wielkiej damy” udane od początku do końca. Wanda Jakubińska jako Salome, Izabella Piętkowska jako Magdalena i Bogusław Sochnacki jako sędzia Durajko. W roli Salome była bezbłędna. Równie bezbłędna okazała się Izabella Piętkowska w roli Magdaleny. Bogusław Sochnacki jako sędzia Durajko wniósł do swej roli humor i ów tak niezbedny koloryt lokalny (Durajko to przecież Polak z Litwy). Wszyscy troje podawali tekst wyraziście, rozumiało się ich z każdego miejsca na sali. Osobno trzeba potraktować Mak-Yksa (Bolesław Nowak) i grafa Szeligę (Jan Zdrojewski). Norwid stworzył dla nich język trudny, naszpikowany poetycznościami, chwilami niemożliwy

Dyskusja przed V ZJAZDEM

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

Za sto lat czy dziś?

Wielu poważnych ludzi, a nie brak ich także wśród odpowiadających za nasze współczesne życie kulturalne, sądzi, że twórczość pisarza może być w pełni oceniona dopiero przez następne pokolenia. Wynikałoby z tego, że my, skromni pisarze dnia dzisiejszego, nie mamy się czego spodziewać od współczesnych. Przypomnijmy sobie tylko owe mocno zarozumiałe czasy, kiedy do oceny naszej tradycji literackiej przystąpili młodzi krytycy i naukowcy z okresu raczkowania Instytutu Badań Literackich. Nikt Sienkiewiczowi tak bardzo nie przyłożył, jak właśnie oni, reprezentanci następnego pokolenia. Gdyby przypomnieć niektóre artykuły krytyczne z prasy tamtych lat, okazałoby się, że reymontowy Boryna to typowy kulak, kulackie było jego życie z erotycznym włazem i kulacka śmierć z garścią ziemi w ręce. A dzisiaj Boryna traktowany jest z kolei całkiem przyzwoicie, jako chłop, który podnosił wydajność z hektara. Można też przypomnieć skromny, lecz sugestywny komentarz jhbowski do „Dzieci” Bolesława Prusa, opatrzone tytułem, który mówi wszystko — „Endek argumentuje”.

Jak więc widać i potomni nie zawsze bywają sprawiedliwi w pełnej ocenie dzieła twórcy, choćby występowali pod najgłówniejszym sztandarem.

Wolałbym więc, żeby — jak dalece jest to możliwe — ufać nie tylko następnym, ale i towarzyszącym pisarzowi pokoleniom. Rozumiem, ci co w sto lat po nas będą patrzyli na nasze książki, osiągną perspektywę lepszą dla oceny, ale czy to znaczy, że człowiek współczesny nie może żadnej perspektywy uzyskać? Nie bardzo mogę się z tym zgodzić, no bo jeśli współcześni nie mają prawa sądzić, czemuż mieliby mieć prawo stawiania zadań przed

pisarzem? A przecież stawiamy przed pisarzem zadania, pragniemy, aby jego piśmiennictwo służyło sprawie postępu, socjalizmowi, więc któż tę służbę ma ocenić? Wyłącznie prawniki?

Wydaje mi się, że nie należy całej roboty zwać na potomnych, tak zresztą się nie dzieje i nigdy nie dzieło. Przecież obserwujemy od szeregu lat niezwykle sprawnie działający mechanizm wartościowania dorobku pisarzy przez współczesnych. Z tym wszakże, że sens działania tego mechanizmu, stał się tego roku szczególnie jasny. Tocząca się dyskusja wśród pisarzy, w prasie, radiu, telewizji, w kawiarniach i klubach, zmierza — jak są-

DZIS PUBLIKUJEMY KOLEJNĄ WYPOWIEDZ W PRZEDZJAZDOWEJ DYSKUSJI NA TEMATY ŻYCIA KULTURALNEGO NASZEGO MIASTA. NA TEMAT LITERATURY GŁOS ZABIERA WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI.

dzię — do ujawnienia sprężyn tego zaiste osobliwego mechanizmu kreowania literackich gwiazd, lub też degradacji, do obalenia fałszywych mitów, zlikwidowania szkodliwych sądów na temat sensu i zadań współczesnej literatury.

Zostawmy już na boku emokierów, gotowych modlić się do byle czego, jeśli tylko pochodzi z Zachodu, nie stąd, jeśli nie wyrasta z polskiej tradycji literackiej. Zostawmy pamiętając, że na dnie tego balwochwalstwa znaleźć można niejedną dramaturgię pisarza zaangażowanego, pomijanego, otoczonego milczeniem bardzo wielkich krytyków. Jeśli np. Jan Kott twierdził z okazji sądów nad Szekspirem, że każda władza jest krwawa, a przede wszystkim nasza, to go emokierzy krajowi i ci zachodni pod niebiosa wnieśli, jego oraz wszystkich innych autorów książek, występujących przeciw wszelkiej władzy, gdyż prowadzi ona ponoć zawsze i wszędzie do tyranii, aby w końcu pokazać ludziom swoje zakrwawione ręce. To są sądy współczesne, a nie potomnych.

Jeśli Zbigniew Żaluskowski nie znalazł żadnego z siedmiu polskich grzechów głównych w naszej tradycji orężnej i tradycji myśli niepodległościowej, to go zaraz z wymyślono od nacjonalistów i szowinistów. Koźniowski pisał w „Polityce”: „...bezkrytyczne uwielbienie historii własnego narodu

— i politycznej i militarnej — to prosta droga do wychowania nacjonalistycznego i szowinistycznego”. Pisał oceniając książkę Żaluskowskiego. To także sądy współczesne, a nie uczonego wnuka.

To, czym ma być współczesna literatura, komu służyć — dyskutowane i sądzone jest współcześnie, wczoraj, dziś, jutro. Słyszałem nie tak dawno wypowiedź młodego krytyka na zebraniu młodych pisarzy. Cytował swojego przewodawcę Gombrowicza: „Literatura polska to typowa literatura uwowocizniska, pragnie oczarować jednostkę, poddać ją masie, znieść do patriotyzmu, obywatelstwa, wiary, służby. To literatura pedagogiczna, więc nie budząca zaufania”.

Ta deklaracja, skierowana aż nadto wyraźnie przeciw polskiej tradycji literatury obywatelskiej, a więc zaangażowanej, posłużyła młodym krytykowi do wyłożenia sencyficznej metody badania literatury. Skoro literatura wychowująca jest

Uformowały się także stosunki wyjątkowo obrzydliwe, choć nie ogarnęły one, na szczęście, całego świata literackiego. Bardzo wielki krytyk, zasiadający w komisji decydującej o przyjmowaniu w szeregi Związku Literatów Polskich, zwykł pytać, czy kandydujący należy do partii. Nie pytał o dzieło, jego wartość, lecz o przynależność partyjną. Jeżeli partyjni — poczekasz bracie. Fakt jak najbardziej autentyczny, rzucający wymowne światło na atmosferę swoistego terroru politycznego wobec ludzi, związanych z partią. A przecież ów bardzo wielki krytyk, jeden z organizatorów niesławnego zebrania nadzwyczajnego części pisarzy warszawskich, przedstawił, uchwaloną, niestety, rezolucję, w której obok ataków na politykę kulturalną naszego socjalistycznego państwa, mnóstwo padło słów na temat wolności, swobód twórczych. Te swobody nie były jednak przewidziane dla pisarzy partyjnych.

Jest więc potrzebny sprawiedliwy obrachunek naszego dorobku literackiego, potrzebny dziś zwłaszcza tym, którzy zawsze uważali piśmiennictwo za szczególnie odpowiedzialną postać służby społecznej. Ku takiemu obrachunkowi zmierza, jak sądzę, dyskusja poprzedzająca V Zjazd PZPR.

Pamiętam jeszcze z czasów akademickich ówch namiętnych młodzieńców, wystrójonych w dobrze widzialnego koloru krawaty, tu, w Łodzi, gromiących Galczyńskiego za mieszczańską i Tuwima za to samo, zaalecających bezwzględnie pisanie wierszy w „schodki”. Jako jedynej drogi dla poezji. Pamiętam tych „marrrksistów”, gotowych rozprawić się z dziećmi, a to, że mianowali pajączki i chłopcy, którzy z braku innych nosili amerykańskie portki wojskowe, albo marynarki z Chicago, przysłane przez UNRR-e. Obiegali redakcję „Kuznicy”, rozprawiali się bez pardonu z naszą tradycją literacką, a po październiku przywdziali nowe kostiumy — rycerzy wolności made in gdzie chcecie, byle nie u nas, byle nie w krajach socjalistycznych. Część pakuje właśnie walizki, lub nawet już rozpakowała daleko od nas. Nasza przedzjazdowa dyskusja powinna przekonać najbardziej wątpliwych, że przedstawienie skończone, kostiumy pójdą do rekwizytorni, a tego rodzaju sztuczki wznowiane nie będą.

Wypada jednak żałować — niech mi będzie wolno napisać to na zakończenie — że u nas, w Łodzi, nie doceniamy konieczności udzielenia pełnego głosu piśmiennictwu. Nie bardzo rozumiem, czemu nie mówią przed kamerami telewizyjnymi — jak dzisiaj, po niemających przecież doświadczeniach, rozumieją zadania literatury, czemu prasa nie zorganizowała jakiejś szerszej dyskusji na ten temat, czemu nie wypowiedzieli się miłośnicy literatury, Polska przemysłem stoi, to jasne, i ta problematyka bogato jest reprezentowana. Czy nie stoi jednak również i kultura? Obliczyłem sobie prowizorycznie, że łączny nakład książek pisarzy naszego środowiska wynosi plus minus ćwierć miliona egzemplarzy rocznie. A jak się śledzi głosy w dyskusji przedzjazdowej, można by odnieść wrażenie, że nas prawie nie ma, nie ma także naszych czytelników.

Bez strachu

„HONORATKA”

Kiedy przed laty wydałem pierwszą książkę — zwaną swobodnie, jeszcze pachnącą farbą egzemplarz do kawiarni „Honoratka”, by pokazać rzecz koleżce i wypić przy okazji kawę, „Honoratka” jest więc starsza niż moje publikacje. Później pisywałem w „Honoratce” siedząc przy stołku na kawiarni — kawiarzami goście myśleli może że to przez snobizm, a ja pracowałem w „Honoratce” ponieważ w mieszkaniu było zbyt zimno. Pisałem także o „Honoratce” (opisałem ją przed laty w powieści „Grupa Pięciu”). Dziś „Honoratki” zaczyna się późno, o godzinie dziesiątej — kawiarnia jest wtedy zupełnie odczłonna od wieczornej zdatowanej i gwarnej „Honoratki”. Ten późny poranek „Honoratki” utrzymuje poranna cisza znacznie dłużej niż ulice i place miasta. Nikt wtedy nie opowiada dowcipów — można pisać w cudownym spokoju i inaczej niż w bibliotece. W mieszkaniu jest się „u siebie”, w bibliotece jest się „u siebie”, w „miejscu obcym”. Być „u siebie” to znaczy wehłaniać swoją atmosferę nie tylko w introspekcji, ale wprost z mieszkanych ścian, podłóg, sufitów, być w „miejscu obcym” — to znaczy stosować się do nowych światła, kolorów, mebli. Sytuacja pierwsza jest zbyt senna, zaciężna, swobodna, sytuacja druga rozpręża. W „Honoratce” jest tem jednocześnie „u siebie” i w „miejscu obcym” — tutaj jest ten sprzyjający snuć pomyśłów cudowny słupek przedzjazdowej. Dzień „Honoratki” płynie, pora obładować do czasu poważnych dyskusji filozoficznych, politycznych, artystycznych. Być może poważni bywalcy tych godzin nie jadają obiadów, lecz syca się treskami intelektualnymi? Przedwieczór „Honoratki” jest tłoczny i gwarny — malarze, dziennikarze, muzycy, filmowcy, literaci, wypożyczają wtedy przedwieczorną i nocną pracę, piją dużo mocnej kawy — szybko intensywnie mówią, tak, jakby chcieli nasyścić się tym gwarem zanim odejdą do pracy — już w tej chwili budzi się w nich trema, która pieszczą i rozpływają i budzą ją w niedługich odstępach czasu. Niebawem odchodzi. Chwile pustych stołków, kanapek, foteli, a potem światłowna fala gości wieczornych — zajmują wszystkie miejsca, a spóźnieni stają przy drzwiach. Dyskusje wtedy są żartobliwe podjęte przychylna ironia. Przed godziną dwudziestą „Honoratka” na chwile pustoszeje — to kinomani odchodzi na wieczorny seans, „Honoratka” ma entuzjastów, sympatyków i niechętnych — nie ma natomiast zupełnie obojętnych. Znam pana, który siedzi w „Honoratce” przez cały dzień — powiada, że przestał już wierzyć w życie „pozahonoratkowe”, ale to przykład skrajnego fanatyzmu — Honoratkowy solipsysta jest w „Honoratce” zawsze — inni w niej bywają, bywają od wielu lat. Powoli kawiarnia pustoszeje — często bywałem jej ostatnim gościem, z pewnością „Honoratka” będzie miała swoją kartkę w historii kultury Łodzi — zasługuje na nią bardziej, niż niejedna książka, a na pewno bardziej, niż jeden z naszych teatrów, niech kto ciekawy pomyśli który? Pewnego dnia, kiedy zbliżałem się do „Honoratki” wylądowało elektryczne światło — otworzyłem drzwi i zobaczyłem po chwili znajome od wielu lat twarze w migotliwym blasku świec. Niepełne czarodziejskie postacie wlaniały się z nagłego mroku i znikły w nim. W tej chwili „Honoratka” wydała mi się miejscem baśniowym, czarodziejskim — zawsze mogę ją taka zobaczyć — wystarczy zamknąć oczy.

BERNARD SZTARNERT

Fot. A. Wójcik

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



Michel Butor

Wkrótce Robbe-Grillet staje się teoretykiem nowego prądu literackiego, drukując szereg artykułów na temat „nowej powieści”.

Równocześnie krytyka próbuje nazwać, określić i znaleźć wspólne cechy dla reprezentantów nowego kierunku. Przede wszystkim zauważono, że pisarze ci zrywają bezwzględnie z realizmem typu balzakowskiego, dezintegrują związek między prawdopodobieństwem i prawdziwością, rozbijają porządek czasowy na korzyść właściwości pamięci, eksponują subiektywizm. Wiele



Nathalie Sarraute

teraz pisano, klasyfikowano, określając cechy „nowej powieści”. Przemomentem

zwrócenia uwagi czytelników na istnienie nowego kierunku stało się otrzymanie przez Butora nagrody Renaudota za powieść „Przemiany”. Książka osiąga nakład 150.000 egzemplarzy.

WIELKA FUNDACJA SZTUKI NOWOCZESNEJ W NORWEGII

Słynna niegdyś mistrzyni olimpijska w jeździe na łyżwach, Sonia Henie i jej mąż zamożny armator norweski, Niels Onstad zbierali od wielu lat nowoczesne obrazy. Każde z małżonków kupowało płótna według swego indywidualnego gustu, nie ulegając nadmiernie chwilowym modom. W kręgu tej pary małżeńskiej znalazła się dzięki temu cenna kolekcja obrazów malarstwa nowoczesnego, licząca setki arcydzieł. Kolekcja ta pokazywana już była i w innych krajach, m. in. w paryskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Obecnie Sonia Henie i jej mąż, podarowali zbiór swej ojczyźnie, Norwegii. Aby kolekcja miała odpowiednią oprawę i zabezpieczenie postanowiono wybudować specjalny budynek. Budynek wzniesiono w nowoczesnym stylu, w przepięknej zalesionej okolicy nad fiordem, o kilka kilometrów od Oslo.

WYSTAWA FRANCUSKICH RYSUNKÓW I AKWAREL W BRITISH MUSEUM

British Museum urządziło ostatnio wystawę kolekcji rysunków i akwarel wybitnych malarzy francuskich. Znalazły się tu dzieła takich wybitnych artystów jak Ingres, Céricault, Daurier, Delacroix, Corot, Degas i inni.

HOLFNDERSKI RYSOWNIK

Interesują go od wielu lat takie dziedziny nauk ścisłych jak matematyka, fizyka, krytalografia. Maurycy Escher liczy obecnie 70 lat. Jego prace pokazane były na dziesiątkach krajowych i międzynarodowych wystaw grafi-



Mozajka z postaci ludzi i zwierząt, białych na czarnym tle lub czarnych na białym — w zależności od percepcji wzrokowej.

ki. Uchodził on nie tylko za znakomitego rysownika (sporządza ilustracje do dzieł naukowych) nie tylko za wysokiej klasy artystę, ale za uczonego i matematyka. Bowiem naukowe problemy interesują go również: jak twórczość artystyczna. Tak np. wiele rysunków Eschera opartych jest na zjawisku złudzenia optycznego. Ulubioną jego pracą jest graficzne układanie mozaiki z po-



Mozajka „Ryby i ptaki”

staci ludzi, zwierząt i przedmiotów. Kiedy taka mozaika jest już gotowa wydaje się, że jej sporządzenie jest łatwe i proste. „Spróbujcie — mówi artysta — a przekonacie się, że to nie tak łatwo wkomponować jedną postać w drugą, zachowując ich kontury i równocześnie wykorzystując każdy milimetr powierzchni papieru”.

MŁODOCIANY ARTYSTA

Igor ma jedenaście lat, lubi malować i ry-

sować. Jest synem znanego w Nowosybirsku artysty Władimira Pietrowicza Sokola. Gdy do

Igora przechodzą szkolni koledzy i widza jego obrazki robione piórem lub najczęściej szkolnym piórem, nie chcą wierzyć, że wykonał je Igor. Igor ma w swoim dorobku już 70 takich prac. Bohaterami jego twórczości są najczęściej postacie z literatury pięknej od Dantego do Coopera. Chłopiec dużo czyta, uczy się dobrze, chętnie też uprawia sport. Należy do klubu piłki nożnej. Niedługo będzie miał swoją pierwszą wystawę. Później wystawa ta zostanie przeniesiona do Moskwy, a następnie dzieła młodocianego artysty pokazane będą za granicą.



JAK POWSTAŁA „NOWA POWIEŚĆ”?

Jean Montalbetti w niedzielnym dodatku „Samedi Littéraire” szwajcarskiego dziennika „Journal de Geneve” zamieszcza ciekawy artykuł o historii tzw. „nowej powieści”.

Zapoczątkowało ten nowy kierunek w literaturze sześciu pisarzy: Irlandczyk Beckett, piszący głównie po francusku, Butor, Pinget, Robbe-Grillet, Sarraute, Simon.

Od kiedy powstała „nowa powieść”? Termin ten przyjęł się w latach 50-tych, kiedy to paryski wydawca Jérôme Linden zaczął drukować książki przedstawicieli tego typu literatury w swym wydawnictwie „Minuit”. Jako pierwszą wydał powieść „Molloy” Becketta, któremu sześciu wydawców odrzuciło tę książkę. 23-letni wówczas Linden zwrócił uwagę na oryginalność prozy Becketta i książka wyszła z druku w 1951 r. (Poprzednie Beckett był autorem „Murphy”, powieści napisanej jeszcze w roku 1936, która sprzedano w ilości zaledwie 90 egzemplarzy). Książki wymienionych sześciu autorów wydawane w białoniebieskiej oprawie nie cieszyły się z początku większym zainteresowa-

niem. Ani krytyka, ani czytelnicy nie dostrzegali początkowo wspólnych cech łączących autorów wydawanych przez Lindena powieści. Mówiono nawet, że cechą wspólną dla całej szóstki jest chyba tylko biało-niebieska oprawa książek. Każdy z tej szóstki miał inny styl pisarski, nie tworzyli żadnej grupy czy literackiej szkoły.

W latach 1950-55 nie zauważano jeszcze nowego kierunku w literaturze francuskiej. Beckett stał się popularnym dopiero po swym sukcesie teatralnym („Czekając na Godota”).

W latach 1955-57 krytyka dostrzega wreszcie „nową powieść”. W tym to czasie Robbe-Grillet publikuje „Le Voyeur”, a w dwa lata później „Zazdrość”. Butor wydał „Odmiany czasu” i „Przemiany”. Claude Simon występuje z książką pt. „Wiatr”, a Nathalie Sarraute ogłasza słynne „Tropizmy”.



Alain Robbe-Grillet

SPEKTAKLE tygodnia

		spektakle	widzów	proc.
WIELKI	„Rigoletto”	1	912	75
	„Jeziro Łabędzie”	1	1200	97
	„Così fan tutte”	2	2552	100
NOWY	„Lato”	3	900	50
	„Pierścień wielkiej damy”	3	900	50
NOWY Mała Sala	„Gra miłości i przypadku”	1	200	100
JARACZA	„Ania z Zielonego Wzgórza”	3	1350	72
POWSZECHNY	„Kawior i kaszanka”	4	1980	80
	„Szelmstwa Skapena”	2	900	80
7.15	„Zajączek Zorro”	3	1266	100
TZŁ	„Okoliczność łagodząca”	6	900	51
	„Aszantka”	2	391	69
ESTRADA	„Występy zespołu „NO TO CO”	2	1600	100
OPERETKA	„Hrabina Marica”	6	5700	89

Notatnik KULTURALNY

Poniedziałek

Powstaje w Łodzi superkategoria. Zwać się ją będzie „Europejską”. Wia domo Europa. Nie pisał bym o tym w Notatniku, gdyby nie drobny fakt. Owa „Europejska” powstaje mniej więcej na miejscu dawnego „Paradis”. A cóż to był „Paradis”? Był to słynny w historii Łodzi zajazd w połowie XIX wieku — egzystował tu około 40 lat razem z pierwszą łódzką sceną ogródkową. Na scenie tej występowała m.in. Modrzejewska, występował stary Trapszo, założyciel aktorskiego rodu, z którego w prostej linii wywodzi się m.in. Mieczysława Cwiklińska... O „Paradisie” pisała Duninówna, pisał Dinter... Dość na to aby każdy łodzianin coś o tym zajazdzie wiedział.

Niestety nie wiedział o tym Wydział Handlu, który lokal na miejscu „Paradis” mianował „Europejską” lekceważąc stare łódzkie tradycje. Trudno aby specje od gastronomii znali np. literaccie tradycje Łodzi, ale gastronomiczne mogłyby znać. Niestety świat urządzony jest inaczej.

Wtorek

Otrzymałem właśnie od Estrady Łódzkiej informację, że wystąpi w Łodzi Wielka Rewia Ja pońska „Nippon Kagaki Dan” (sama nazwa aż bucha egzotyką). Rewie znają mieszkańcy Warszawy i Wybrzeża, bo wiem gościła ona w Polsce przed rokiem. Obecnie zobaczymy ją w Łodzi w Pałacu Sportowym. Co to będzie? Feeria barwnych kostiumów, taneczne ewolucje w stylu wielkich rewii znane nam z tego rodzaju filmów ogląda-

nych często w telewizji. Zważywszy aplauz jaki zyskało kimono młodej Japonki na sopockiej estradzie — tu chyba dojdzie do szaleństwa. No cóż zobaczymy. W informacji Estrady zaciękawilo mnie jedno zdanie „Ze spół rowli składa się w łączności z niezameżnymi kobiet”. Czyżby to była zapowiedź atrakcji tak-że... matrymonialnych?

Środa

Od kilku dni wielotysięczna rzesza łódzkiej młodzieży spieszy co rano do szkolnych klas. Zostawmy ich w ciszy — niech się uczą, a my zerknijmy do stały styk. Łódź ma w dziedzinie oświaty spore osiągnięcia. W ciągu ostatnich czterech lat nastąpił na przykład dynamiczny rozwój placówek oświatowych — zwłaszcza szkół zawodowych. Dość powiedzieć, że w ciągu tych czterech lat wybudowaliśmy w Łodzi 15 szkół podstawowych, 13 zawodowych, 5 warsztatów przyszkolniczych (wiadomo politechniczej), jedno liceum i jedną szkołę specjalną. Ponadto właśnie w Łodzi znajduje się najwyższy w Polsce procent nauczycieli z wyższym i półwyższym wykształceniem. Żeby jednak nie było zbyt dużo szczęścia naraz powiedzieć

trzeba, że pod względem ilości promowanych uczniów jesteśmy w Polsce na... 20 miejscu. Co to znaczy? Nie wiem. Boję się wyciągnąć wnioski.

Czwartek

A więc to już III Giełda Malarstwa. Ustała się w Łodzi dobra tradycja. ZPAP wspólnie ze Związkiem Zawodowym Włóknarzy wykonują tu naprawdę dobrą robotę popularizatorską. Dość powiedzieć, że w roku 1967 do łódzkich fabryk i instytucji zawędrowało z giełdy ponad 40 prac wartości 150 tys. zł. Na giełdzie dziś otwarti ewentualni nabywcy mają do wyboru 160 obrazów czterdziestu łódzkich artystów. Tyłko przechodzić i kupować! A warto, bo obraz zawieszony w biurze czy świetlicy pełni nie tylko swoje estetyczne funkcje, ale i funkcje społeczne — kształci. Fak artystyczny, uczy na co dzień a nie od święta patrzenia na dzieło sztuki z prawdziwego zdarzenia.

Piątek

Któż dziś gra na organach poza... organistami? A jednak! Odbywają się w Kamieniu Pomorskim festiwale muzyki organowej i nawet łodzianie zdobywają tam nagrody. Właśnie dotarła do mnie wieść, że drugą nagrodę na tym festiwalu za kompozycję pt. „Inwokacja” zdobył łódzki kompozytor Bernard Pietrzak. Oczywiście festiwal muzyki organowej to nie big-bit, a Kamień Pomorski to nie Sopot... Zainteresowanie społeczne muzyką poważną wciąż jest jeszcze niewielkie. Ale twórcy i wykonawcy tych trudnych kompozycji mogą pocieszyć się jednym. Ich dzieła przetrwają na pewno dłużej niż sezonowe „Opolskie dziouchy” czy „Dzikię plaże”...

Sobota

Dziś rozpoczął się w Łodzi Tydzień Sztuki Ludowej. Prezentuje się nam w ramach tej imprezy folklor sieradzki i rawski, łęczycy i łowicki. Ten ostatni najbardziej znany, najbardziej „opatrzony” — pozostałe natomiast regiony choć może mniej kolorowe wydały mi się jednak ciekawsze, bo bardziej naturalne, mniej ciężkie na nich

„odświętność”, mniej w nich sztuczności a więcej naturalnej prostoty. Wreszcie my mieszczychy mogliśmy zobaczyć na własne oczy, jak po wstałe wycinanki, rzeźby, siwaki... CEPELIA imprezę zorganizowała z rozmachem, z tańcem, kapelą, z przytupem. Tak jak na ludowy festyn przystało.

Niedziela

Przyjechali tylko na jeden dzień — dali dwa spektakle i już ich nie ma. Uroczysty Teatr Lalek z Konstancji wystąpił dziś w sali „Arlekina”. Jest to teatr miodych ludzi, lalkarzy — entuzjastów, którzy przed 12 laty stworzyli swój zespół. Dziś znani są przez wielotysięczną rzeszę młodych, wdzięcznych widzów Rumunii — łódzka widownia poznała ich również. Na tę krótką polską wizytę przygotowali uroczy program z tłumaczeniem treści sztuk — i choć język polski nie jest specjalnie łatwy dla siebie z nim jakoś radę. Potrzebny jest bowiem entuzjazm i zapał, a wszystko można pokonać. Takim właśnie wstępnym bojem zdobyli łódzka widownia.

JERZY WIDOK

DWUNASTU AUTENTYCZNYCH FALSZERZY

Mielśmy już dwunastu sprawiedliwych, dwunastu gniewnych, nawet dwanaście krzesel, ostatnio mamy dwunastu falszerzy, oczywiście dolarów. Jak podała prasa codzienna, siedzą już prawie od miesiąca za kratkami. Będą mieli niewątpliwie sporo czasu na przemyślenie swej zuchwałości. Za podrabianie, przerabianie i fałszowanie pieniędzy oraz papierów wartościowych grozi bowiem kara więzienia do dożywocia, a nawet kara śmierci.

Prawo w tym miejscu jest wyjątkowo surowe i to nie tylko nasze. Falszerstwo ha mocy międzynarodowej konwencji jest ścigane przez Interpol. Jeden z członków szajki miał już paszport do Szwecji. Ludził się, że tam będzie bezpieczny. Dwóch pozostałych przygotowywało się także do opuszczenia kraju. Mieli zamiar przed wyjazdem zapotrzążyć się jeszcze na drogę w brylanty. Marzyli. Cóż, chcę szybkiego wzbogacenia zawsze ludzi zaślepiła, nawet tych, którzy chcą to czynić w miarę legalnie, a co dopiero jeśli idzie o zdeklarowanych przestępców.

Domyślałem się, że naszych czytelników interesują ci ludzie, jak i sama technika dolarowej afery oraz technika jej wykrycia. Ta ostatnia okazała się lepsza. Niemniej ze względu na toczące się jeszcze dochodzenie prasa nie może na razie podać pełnych nazwisk sprawców, jak i wszystkich szczegółów przestępstwa. Zresztą nie są to znów takie ważne nazwiska. Redakcji „Odgłosów” udało się zdobyć bardziej dokładne materiały dotyczące tej sensacyjnej sprawy. Zawdzięczamy to uprzejmości pracowników Komendy Stołecznej MO. Wykrycie i stosunkowo szybka likwidacja szajki jest bezspornie dużym sukcesem naszej milicji.

Falszerze są z reguły przestępcami dość zdeterminowanymi. W tej szajce również panowała zasada pełnej bezwzględności. Umowa była taka, że kto się raz włączył, nie ma już odwrotu. Odczuł to na sobie Jan O. — wysokiej kla-

sy fachowiec, poligrafik, który podjął się jednorazowego wykonania matrycy. Obejrzał najpierw oryginalne banknoty, następnie wykonał kilka prób, po czym orzekł, że podejmie się „roboty”. Słowa rzeczwiście dotrzymał, wziął wysokie wynagrodzenie i zerwał z szajką wszelki kontakt. Tak mu się przynajmniej zdawało. Ale oni z nim nie zerwali. Apetyt rośnie przecież w miarę jedzenia. Szajka po wypuszczeniu w obieg 20- i 50-dolarówek oraz innych banknotów, postanowiła fałszować także korony szwedzkie i marki NRF-owskie.

Pewnego dnia ponownie zjawili się u Jana O. szef szajki Stanisław Z. i zażądał od niego wykonania nowych matryc. O odmowie nie chciał wcale słyszeć. Na jednym ze spotkań wspólnicy ustalili, że „wysłać z szajki jest albo przez zagranicę albo przez płań”. Pistolet, który leżał wtedy na stole miał być gwarantem solidarności i wzajemnej lojalności członków gangu.

Przyznać trzeba, że dwunastu stołecznych cwaniaków pokusiło się o rzecz niebagatelna. Wyprodukowanie miliona fałszywych dolarów to przestępstwo zakrojone na dużą skalę. Ale jak to zwykle z przestępcami, zawiodła ich wyobraźnia. O brak znajomości fachu nie możemy ich przecież posądzać, ponieważ znajdowali się wśród nich specjaliści poligraficy i fototechnicy. Znalazł się także prawnik z wyższym wykształceniem więc i od tej strony konsultacja była pełna. Znalazł się i właściciel firmy budowlano-remontowej, reszta zaś to niebieskie ptaki o organicznym wstręcie do jakiegokolwiek pracy. Większość egzemplarzy tego gatunku marzy najczęściej o maszynce do robienia forsy. Myślę, że każdemu człowiekowi choć raz w życiu w chwili kiepskiego samopoczucia materialnego przychodzi taki pomysł do głowy. Ale normalny człowiek poza nieszkodliwą sferą rojeń i fantazji w tym względzie nie wychodzi.

Stanisław Z., główny inspirowator i organizator szajki od dzieciństwa marzył o fabryce

pieniędzy. Póki co fałszował świadectwa szkolne, a z dolarówek za pomocą tzw. „skrobanki” jak się to w tym zakresie fachowo nazywa produkował studolarówki. Jest to jednak robota żmudna, mało efektywna i dla człowieka urodzonego w niedzielę w dodatku z dwiema lewymi rękami zbyt nużąca i męcząca. Idea stworzenia wielkiej fabryki wyrabiającej masowo fałszywe banknoty dojrzała w nim podczas kolejnego odsiadki kary więzienia. Z tego fałszera wywabiającego z dolarówek jedynkę i wpisującego w to miejsce setkę chciał się stać wielkim falszerzem. Podobno każdy najmniejszy, najdrobniejszy, najbar dziej mikroskopijny nawet zrodziejaszek marzy o swym wielkim skoku i pielęgnuje w sobie idee przestępstwa doskonałego.

Takim modelem przestępstwa absolutnie doskonałego było dla Stanisława Z. fałszowanie banknotów na gigantyczną skalę. W grę nie wchodziły niezdarne podróbki lecz wykonanie pierwszorzędnych falsyfikatów. Pierwszym osobnikiem, którego Stanisław Z. w tajemniczył w swe plany był Apollinary S., błękitniejący ptaszek kryminalnego podziemia stolicy. Następnie dokooptowano oprócz wspomnianego już wyżej Jana O., Adama J., również biegłego fachowca w sztuce graficznej. Postarał się on o papier i o zagraniczną zieloną farbę, która nadawała się do druku dolarów. Na marginesie podam, że eksperci bankowi rozszyfrowują fałszywe dolary amerykańskie za pomocą wężu. Autentyczne dolary mają jedyny w swoim rodzaju specyficzny zapach farby... „Nieliczni! Czytelnicy, którzy w tym momencie przewalili czytanie ażeby sprawdzić, czy czasem nie bujam, są na pewno trochę zawiedzeni. No, ale ja przecież napisałem jasno, że tylko wytrawni eksperci bankowi potrafią się na tym poznać.

Po tej małej dygresji wróćmy jednak do historii zdarzenia. W początkach maja br. członkowie szajki ustalili drobiazgowo i skrupulatnie plan falszerskiej operacji na skalę wręcz dotychczas w Polsce niespotykaną. W nocy, 27 maja znaleźli się w powielarni jednego z zakładów przemysłowych centrum stolicy. Przez nikogo nie niepokojeni przystąpili do zadziwiającej swymi rozmiarami operacji. Wyprodukowali w ciągu jednej nocy ni mniej ni więcej tylko 2 tysiące arkuszy fałszywych banknotów wartości okrągłego



miliona dolarów. Rzecz cała odbyła się według wszelkich prawideł sztuki dykarskiej. Starzy waluciarze nabierali się na te falsyfikaty.

Od tej chwili zaczął się proceder akt drugi. Fałszywe dolary trzeba było zamienić na oryginalne polskie złotówki. Kolportaż w pierwszym rzędzie uwzględnił kolekcjonerów portretów prezydentów USA. Wstępne rozpoznanie miłieji wykazało, że najwięcej tych kolekcjonerów znalazło się wśród chłopów i księży wiejskich. Zakupili oni wiele tysięcy bezwartościowych papierków w kolorze zielono-oliwkowym. Łącznie krąży ich po kraju jakieś 700 tysięcy. Ciekawe, że do banku nie trafił ani jeden „dolar”.

Łódź i województwo łódzkie zostały obficie zaopatrzone w falsyfikaty. Tu bodajże trafiono na pierwszych naiwnych. Dla wielu pechowa okazała się ta lokata kapitału. Kult dewiz okazał się kultem kosztownym. Wyobrażam sobie, co się działo dzieje w duszach biednych chłopów i ich duszpasterzy. No, może znów nie aż tak biednych. Ale nie drwimy sobie z nich. Choć za bardzo także ich nie żałujemy. W końcu to przecież z myślą o takich skąpcach chowających dolary w półczochę Stanisław Z. rozkręcił swoje „przedsiębiorstwo”. Liczył, że jeśli nawet któryś z nich odkryje, iż kupił fałszywe dolary, to i tak z tym do władz nie pocię. Jak wie-

domo, handel dolarami nawet autentycznymi nie jest przez nasze prawo zbyt rozpieszczany. Nie trzeba więc zbyt dużej fantazji, by sobie wyobrazić, że posiadacze falsyfikatów będą się chcieli ich teraz pozbyć. W ten sposób oszustwo rodzi oszustwo. W postępie niemalże geometrycznym. Oszukani będą starali się zostać obecnie oszustami, ażeby wyjść na swoje. Jedni już zostali oszukani, inni w najbliższym czasie nimi zostaną.

A tymczasem przestępcy upojeni łatwym sukcesem wyjechali na Mazury, zakupili na miejscu piękną żaglówkę i zaczęli wiesć słodkie życie. Wyjechali skuterami. Kupna samochodu nie chcieli na razie ryzykować. Ale mieli w projekcie. Tymczasem inwestowali pieniądze w alkohol i „sex”. Istnieje pewien gatunek istot, który na miłe wyczuwa racęto z grubszą gotówką. Jak bluszcz otoczyły one naszych bohaterów w ilości przekraczającej normalne stłazy tony. rzyście. Pod tym względem rozprawa sądowa zapowiada się niezwykle interesująco. Rewia damskich świadków będzie wiewia warszawskiego pół światka.

Krótko trwał rozrzućny tryb życia. W maju uruchomiono „przedsiębiorstwo”, a w sierpniu „udziałowcy” znaleźli się już pod kluczem. Jest to więc niejako historia jednego lata.

Jak wpadli?

Z chwilą ustalenia, że na czarnym rynku pojawiły się fałszywe dolary, milicja rozpoczęła natychmiast dokładną obserwację środowisk waluciar-skich. Wielu z Sherlocków, Holmesów spod znaku MO nie skorzystało w tym roku z urlopów, spędzając nieprzespane noce na żmudnym, drobiazgowym, nieefektywnym zajęciu. Tymczasem wrócił już z czerwowego urlopu 32-letni Jerzy G. Przyjechał do Warszawy splukany doszczętnie i wówczas spotkał w restauracji „Zagłoba” kolegę, który mu zaproponował pośrednictwo w sprzedaży banknotów. Na początek wręczył mu 2 tysiące dolarów. Nie zdążył chłopak sprzedać jeszcze ani jednej sztuki, a już miał kajdanki na rękach.

Z początku trudno było ustalić, kim był ów kolega. Zażęto się więc na wszelki wypadek wszystkimi znajomymi pośrednikami oraz znajomymi znajomymi, a także znajomymi znajomymi. Potworna to musiała być praca. Trwała noc i dzień bez przerwy. W trakcie inwigilacji natrafiono na osobę Apolinarego S. Od tego momentu reszta już poszła gładko. Pewnego pięknego, sierpniowego poranka, ścisłej o godzinie piątej rano w czwartek ujęto wszystkich członków szajki w Dębem Wielkim (ależ nazwał) pod Warszawą.

Oglądając owe fałszywe dolary. Wyglądają całkiem jak prawdziwe. Tym bardziej, że prawdziwych nigdy nie widziałem.



Lewym okiem

PUŠKA I BOBEK

Puška idzie do szkoły. Puška ma dwanaście lat, cienkie nogi, wąskie plecy i wystające łopatki, ma piegowatą buzię i wieczorem przymerza sobie przed lustrem różne rodzaje uczesania. Dziewczynki w jej wieku, niedawno temu, nosiły ciężkie wiadra wody na drągu, przerzuconym przez wąskie plecy. Powiatki współpracują tamtym dziewczynkom. Puška nosi teczkę (tornistry niemożne, a nastolatki muszą być modne), i raz jak tatuś podniósł tę teczkę z podłogi, żeby ją porządnie położyć na krześle, wykrzyknął ze zdumieniem: co ty tam nosisz, bój się Boga, kamienie? Wcale nie kamienie. Tylko, że każdy nauczyciel chce, żeby właśnie jego przedmiot stanowił główny, najważniejszy obiekt nieustającego ani na chwilę zainteresowania ucznia i jego cichej, pełnej pietyzmu adoracji. Uczeń powinien przez cały rok uzupełniać piękny, gruby, oprawny w sztywne okładki brulion opisami życia w kropki wody, rysunkami komórek

i szkieletów, sprawozdaniami z wizyty w ZOO. Drugi taki sam, albo grubszy, brulion — zadaniami matematycznymi, słupkami ułamków, trójkątami oraz wykresami stycznych i siecznych. Trzeci, jeszcze grubszy — dyktandami i wypracowaniami na temat dowolny. I tak dalej. Zeszyty się przeżyły. Zeszyt jest wyrazem lekceważenia przedmiotu. Musi być brulion. Stukartkowy — tak pocięła pani. Co będzie, jeśli policzy kartki i znajdzie mniej, niż sto?

Więć Puška nosi co dzień co najmniej sześć grubych brulionów, do tego sześć podręczników Hrabiego Monte Christo do czytania pod ławką, pantofle, piórnik, śniadanie i kosmetyczkę. Razem pięć kilo. Wiadro wody. Przemysłowi papirniczy nie może wprowadzić nadżyć z produkcją materiałów piśmiennych tuż po wakacjach, potem jednak przez cały rok ma spokój — całoroczne zapasy czystego papieru noszą Puški w tę i nazad w teczkach. Nie wiem, jakie imię wpisano Pušce do świadectwa urodzenia. Może być zarówno Janina, jak Kleopatra. Diana lub Grażyna. Zdróbniła mówi się Puška, tak jak na jej koleżanki „mówi się”: Boba, Lipcia, Stynka, Drynia i Dziuba. To wcale nie są przezwiska, tylko właśnie „imiona zdróbniła”, przodzone z nadmiaru tkliwości, z poczucia, że Drynia jest przecież zupełnie wyjątkowym małym człowiekiem. Niestety, człowiek rośnie, a imię zostaje. Rozwierają się nożyce, zaczyna być śmiesznie. Gdy słyszę w lesie starszego pana, wołającego Clapkę, oglądam się najpierw za psem, potem za dziewczynką z warkoczami. Ale star-

szemu panu odpowiada zza krzaków zażywna, tęga jejność. Clapka. Jej pochylona wiekiem matka nadal jest może panią Jagoda, jak była siedemdziesiąt lat temu. A sam starszy pan może wciąż nazywa się Bobek, bo tak go kiedyś zdróbnił i taki zdróbniony pozostał. Szczególnie dziwnie brzmi taki pan Bobek w porównaniu z brodatym, osiemnastoletnim wnukiem, do którego koleżanki nie mówią inaczej jak Wojciechu. Może nawet chwiliami pan Bobek poczuje się upupiony i dostrzeże w sobie coś jakby żal do rodziców, że wprowadzili go w świat dorosłych pod kryptonimem niemowlaka. Rodzice często tak robią. Maluchom to i miło, i wszystko jedno, gdy się je przepieszczą i przezywa i przesładza, w pewnym momencie jednak wypadła przestać. Z tak zwanym mieszanym uczniem patrzę zawsze na mamę po czterdziestce, odmładzającą się rozpaczliwie kosztem dorastającego syna. — Sładź, Misiu — mówi do niego w przepelnionym wagonie. — Uważaj, Misiu, bo przeciąg. Może coś zjesz, Misiu? Miś skreca się z bólu, dopóki nie wybuchnie; oczywiście — od razu przeszarżuje, będzie wściekły, nieznośny, źle wychowany, aż mama w domu popłacze. Placz nie odmładza. Naprawdę lepiej zauważyć w porę, że to już nie Miś, tylko Michał. Naprawdę zadania można dobrze rozwiązywać w zwycajnym, cienkim, lekkim zeszyte. Niech Puška nie dźwiga za dużo niepotrzebnych rzeczy. Bedzie to robić, gdy zostanie dorosłą, osiemnastoletnią Martą.

CWIEK